



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG.**

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

POGA WĘDKA

Minęły nawet i zaduszki, święto jesieni; lada dzień śniegiem sypnie niebo i gruda ziemię zasiele; strach, jak ten czas szybko pędził... a cząsem pędzi i życie ludzkie... Taka to niby długa droga między kołyską i trumną, tak to się niby wlecze: a przecież zawsze nam się wydaje, że umieramy zawczasie i że tyle do zrobienia jeszcze pozostało!

Byłem na Powązkach, jak wszyscy w święto umarłych, płynąłem z falą ludu, co się żywą powodzią rozlała między grobami; jak każda powódź, i ta naniósłła dużo piany ze sobą.

Co roku powtarza się to samo, co roku się przestrzega, narzeka, uczy, gromi, przypomina, że cmentarze są miejscem poświęcanem, miejscem smutku, ciszy, pokoju i kontemplacji, że ze śmiechem głupców i prostaków, z krzykiem gawronów wchodzić tam nie należy; ale co to pomoże!... gawiedź gawiedzią pozostaje.

Przychodzą na mogiły bez myśli, bez czucia, bez zdania sobie sprawy, gdzie są i co tu robią, po co tu przyszli; przychodzą, jak na widowisko, gapić się, przyglądać, dowcipkować i urągać sobą smutkowi i powadze miejsca.

Na cmentarzu powinno być, jak w kościele, a bywa, niestety, jak w budzie jarmarcznej.

Możnaby przywrócić mu właściwy charakter, gdyby w dniu zadusznym utworzono straż honorową przy grobach, któraby czuwała nad powagą miejsca i chwili, nie pozwalając śmiać się, chychotać, dowcipkować i nieprzystojnych żartów nie dopuszczając.

Z każdym rokiem, oile uważam, ma się ku gorzemu.

W kilku pismach galicyjskich przed zaduszkami wystąpiono z projektem zniesienia zwyczaju oświetlania i wieńczenia grobów. Obliczono, że ten zwyczaj kosztuje drogo, że odkładając co roku gotówkę wydaną na lampy i kwiaty, możnaby zebrać spory kapitał na instytucje filantropijne, zakładać ochronę, szpitale, szkoły, lub domy przytułku.

Projekt to, jak każdy inny, w teorii przekonują liczbami, w praktyce zawiódłby z pewnością.

Pomijam moralne argumenta, które przeciw niemu przemawiają; jest w zwyczaju tradycją uświęconym pewną siłą, która zmusza najbardziej obojętnych do wypełniania obowiązku. Raz do roku każdy, najuboższy, zdobywa się na wydatek, by skromną ofiarą spłacić dług pamięci i wdzięczności dla umarłych; gdyby mu przyszło w inny sposób, choćby mniejszym kosztem, wypełniać ten obowiązek, zalegałby w nim z pewnością. Groby pozostałyby bez światła i kwiecica, a dobrowolne datki na fundusz publiczny kaplałyby coraz mniej i coraz wolniej.

Nie, nie wierzę w możliwość i praktyczność takiej reformy, przeciw której za wiele przeszkód do obalenia pozostaje.

Ta praktyczna ekonomia filantropów, socjologów i reformatorów zdobywa się na tanie pomysły często, ale nie oblicza z rzeczywistością i środkami, nie uwzględnia wad lub braków natury i charakterów ludzkich.

Zamiast znosić zwyczaj piękny i poetyczny w zaduszki dla celów bardziej utylitarnych, możnaby godziwszym sposobem zebrać znaczne fundusze, poświęcając część złego przyzwyczajenia, jakim jest np. palenie tytoniu. Wyobraźmy sobie tę piękną solidarność wszystkich palaczy, którzy codziennie zobowiązują się wartość jednego tylko

papierosa wrzucić do skarbony publicznej, zamiast puszczać z dymem marny grosz; bająskie summy zebralibyśmy w ciągu lat dziesiątką; ale pokażcie mi tego zucha, który potrafi wyekwować tę dobrowolną ofiarę, jaką pałacą jednostka bez swojego uszczerbku ponieść może codziennie!...

Ba, gdybyśmy mogli urzeczywistniać zawsze drobne ideały i umieli z ziarenek piasku sypać całe góry, byłibyśmy cudotwórcami i narodem olbrzymów.

Ale, niestety, nie umiemy tego, nie umiemy naśladować natury, która z najmniejszych komórek i z najniklejszych drobni buduje wspaniałe dzieła swoje i ani jednego atomu nie marnuje w wielkiej pracy nad wszechświatem.

W naturze niema na szczęście resztek, jak w tanich kuchniach, które administracją tych instytucji naraziły w ostatnich czasach na nieprzyjemne processa wobec opinii publicznej. Pięćdziesięciu stołowników podniosło wielki głos przeciw drożyznie i kulinarnym uchybieniom tanich jadłodajni. Kiedy kuchnia nazywa się taną, niechże nią będzie w istocie, nietylko w firmie—zawołali niezadowoleni chórem *unisono*.

Zarząd zaczął się tłumaczyć, że nie może dawać taniej obiadów, bo nie może z higienicznych względów spożytkowywać resztek z dnia poprzedniego, postawiwszy sobie za zadanie tylko świeżymi potrawami ze świeżych wiktuałów karmić swych stołowników.

Na ostatniej wystawie higienicznej tanie kuchnie zostały odznaczone pochwałą; a w kilka miesięcy później okazuje się, że pochwała nie była zasłużoną, bo kieszenie i żołądki stołowników zaproteowały przeciw dobrej opinii tanich kuchni.

Zrobił się z tego duży krzyk, hejże na Soplicę!... W poszukiwaniu sensacyjnych kwestyi prasa brukowa rozdeła tę sprawę nad miarę,

z pewną przesadą, skutkiem czego sprytni restauratorzy postanowili wyzyskać sytuację i utworzyć konkurencją tanim jadłodajniom, ogłaszając, że po niższej cenie dawać będą studentom obiad lepsze, niż w tanich kuchniach. Jakim cudem zrobić to mogą—pozostanie tajemnicą ich spekulacji i kuchmistrzów, fabrykujących... generalne sosy.

Co do mnie, zawsze miałem to przekonanie, że liche restauracyjki, wabiące gości niską ceną, są zakładami oszczędności, bo po jednym z nich obiedzie z przedwczorajszych ochłapków i na zeszlotygodniowym tłuszczyku kilka dni potem żyje się na... dyecie; ergo zarabia się na zaoszczędzonych obiadach, a zyskuje—kataręk żołądkowy.

Gdyby cały świat mógł jadać według nieocenionych przepisów kulinarnych p. Cwierzakiewiczowej, ludzkość obliżywałaby się nieustannie i wyglądała tłusto, rumiano i brzuchato; ale, niestety choć nikomu nie jest obcą powaga naszej kulinarniej Egeryi, większość nie może się do niej zastosowywać, przeważnie z braku owych pięciu złotych, za które wyrocznia naszych gospodyń „365 obiadów” światu jedzącemu podsyłkowała.

Stołownicy tanich kuchni utrzymują, że w tych ciężkich czasach obiad za dwa złote jest i za drogi i za mało smaczny; stołownicy tanich kuchni są widocznie większymi smakoszami od p. Lucyny, która w swojej anielskiej „Kołodzie dla gospodyń” na rok przysłała w ten sposób wyraża się o tanich kuchniach na wystawie higienicznej: „Dwa razy jadłam w tej jadłodajni obiad i więcej na pochwałę powiedzieć nie mogę, nad to, iż jadłam cały obiad ze smakiem, i że tenże wystarczał mi za pożywienie dnia całego. Zwykle w tem, co sami umiemy, jesteśmy najwybredniejsi, a to, że ja jeść mogłam i to niezmuszona koniecznością, dowodzi wysokiej staranności tak przyrządzenia, jak świeżości i dobroci produktów.” Autorka wychwała szczegółowo bigos barszcz z boćwinką, a pierogom z mięsem chciała zrobić zaszczyt postawienia ich na własnym stole; szczęśliwe pierogi!...

Jeżeli zatem kilka miesięcy temu największa znawczyni sztuki kulinarnej, nasz kobiecy Brillat-Savarin, taki sąd bezstronny mogła wydać o tanich kuchniach, w takim razie opozycja albo, z przeproszeniem, ma kwasy w żołądku, albo coś się naprawdę zepsuło w tanich jadłodajniach, i to coś dla honoru instytucji, a na pożytek jej stołowników, jaknajrychlej naprawić należy, aby równowaga przed kilku miesiącami znowu przywrócić być mogła.

Radbym, aby sprawa kuchenna w takisam sposób załatwioną została, jak sprawa gazowa, przeprowadzona przez *Kuryera Codziennego*, przed kilku tygodniami. Zaczęło się od gromu konsumentów, rzuconego na fabrykę gazu, a skończyło po wyjaśnieniu i zbadaniu kwestyi przez specjalną komisyję znawców, aureolą z tęczy, roztoconą nad zakładem gazowym u nas, który z potulnością niewinnie pokrzywdzonej ofiary oczekiwał się zupełnej rehabilitacji pod pręgierzem publicznym.

Mamy tedy o jeden urojony kłopot mniej, ale Towarzystwo Dobroczynności ma ich o jeden rzeczywisty więcej, odkąd nie wie, gdzie urządzić doroczny bazar-kiermasz-wentę pod konkursową firmą „Gwiazdki.”

U nas teraz wszystko na drodze konkursów się rozstrzyga, nawet nazwy dla filantropijnych „szopek.” Ponieważ cyrk będzie zajęty, po odrestaurowaniu, przez konie i hecarzy p. Schumana, resursa obywatelska jest nieodpowiednią, a innej obszernej sali na pomieszczenie wszystkich cudów bazarowych nie wyszukano: przeto cały projekt ma wpaść do... kosza.

Nie pierwszy już raz w Towarzystwie Dobroczynności, zauważyłem zanik pomysłowości świeżej i oryginalnej; przybywa mi jeden nowy objaw do moich obserwacji.

Wskutek tej wady skostnienia w organizacji władz naczelnich najlepsze projekta, hr. Wincentego Walewskiego i innych poszły na marne,

wszelkie innowacje musiały być zaniechane, budowa przytulku dla starców przy ulicy Freta odłożona *ad kalendas graecas*, bo się arystarchom nie podobała ruchliwa działalność inicjatora, stary zasłużony tradycją półwieczną Teatrzyk Dobroczynności został uparcie na babiniec zamieniony, gronko amatorów—artystów rozproszone, a obecnie i projekt bazaru, czy kiermaszu, pozostawiony z lepszych czasów, jako doświadczone źródło dochodu, osiada na mieliznie.

Na miejscu tych wszystkich obalonych zabytków nie powstaje atoli nic nowego; słychać tylko ciągle postępowanie o rosnących wydatkach i potrzebie nowych funduszy.

A tymczasem ludzi z pomysłami i oryginalną inicjatywą nie brak znowu tak bardzo u nas; do nich np. należy hr. Gustaw Plater, który specjalnie swoimi względami otacza kasę pożyczkowo-wkładową artystów teatru warszawskiego i co roku pomaga jej w jakiś nowy sposób zasilać swoje fundusze. Obecnie zajęty on jest urządzaniem wystawy muzycznej na cel powyższy; wystawa może być nader zajmującą dla wszystkich, bo oprócz rzeczy specjalnych, pomieścić ma instrumenta różnych rodzajów i epok, nuty, pamiątki po sławnych mistrzach, wszystko co gra, lub z muzyką w jakimkolwiek związku stoi, choćby to był zegar z kurantem, albo stara tabakierka z pozytywką, którą gdzieś, kiedyś w szlacheckim dworze kwestarz bernardyn, stawił na szklance i dawał koncert na uciechę całego domu, wywdzięczając się za gościnę i ofiarę.

Dobrzeby było pomyśleć także o urozmaiceniu wystawy wykonywaniem utworów muzycznych starej i nowszej daty z ogłoszonym z góry programem; chętnych wykonawców nie zabrakłoby w gronie naszych artystów i artystek.

Świątek naszych melomanów rozruszał się i ożywił z przyjazdem do Warszawy wiedeńskiego pianisty Alfreda Grünfelda, dobrego znajomego warszawskiej publiczności; ma on swój odrębny rodzaj gry i talentu, który go czyni nieporównanym specjalistą w kierunku wytwornej, do ideału wydelikacowanej, techniki.

Grünfeld, to drugi Sarassate wśród pianistów europejskich; po każdym muśnięciu klawisza spada z pod jego palców perełka tonu, tak przejrzysta, tak barwna, taka lotna, że się nazachwycać nią nie można; ulubieńcem salonów nazywają go zagranicą, a pleć piękna stoi po stronie najgorętszych jego wielbicieli,—nie dlatego tylko, że jest jednym z najprzystojniejszych wirtuozów. Słuchają go najczęściej z zamkniętymi w rozmarzeniu oczyma...

Trzeba słyszeć Grünfelda w salonie, gdy jest w dobrym humorze; co prawda, ten humor specjalnie wiedeński, znad modrego Dunaju, rzadko kiedy go opuszcza, trzeba go słyszeć, gdy parafrazuje straussowskie walce i robi z nich istne poematy, albo z banalnego motywu, ogranego na wszystkich katarynkach, wysnuwa świetne w swoim rodzaju waryacje w stylu Mozarta, Bethovena, Schumanna, Haydna, Gounoda, Wagnera, Offenbacha i Straussa. W tych igraszkach pozornych widać, nie tylko mistrzostwo techniki, ale i zadziwiająca zdolność wnikania głęboko w ducha, charakter i formę genialnych muzyków.

Grünfeld gra wszystko; jednakowoż ten lekki (tak się to mówi) salonowy rodzaj spopularyzował go najbardziej i wyróżnił wśród pianistów zagranicznych. Dlatego, że nikt inny chyba z taką elegancją, werwą, poezją namietności i szaloną techniką, nie potrafi zagrać walczyka, przeobrażonego na wdzięczny klejnot sztuki,—Grünfeld, grający świetnie poważne utwory, całe koncerty, sonaty, fugi, nocturna, mający w koinuszczkach swych elastycznych palców olbrzymi repertuar od Bacha do Rubinsteina, od Szopena, do Liszta, uchodzi specjalnie za specjalistę... do walczyków.

Dla wykonawców, jak dla twórców, pewne drugorzędne zalety stają się niekiedy fatalnością.

Ten walc Grünfelda jest felietonem, który wszyscy czytają, wszyscy pamiętają, wszyscy mu za główną zaletę poczytują, wszyscy go od niego

głównie żądają i przez który zapominają, że talent jego sięga dalej i wyżej poza felieton; za-wistni zaś i zazdrośni korzystają z tego, by uznać swoje ograniczyć tylko na tem polu dla niego. Będą go przechwalali, jako felietonistę, aby nie uznać wyższej jego wartości w poważniejszym rodzaju; czasami bywa to zaślepieniem, a czasami uprzedzeniem przeciw pewnym talentom.

Grünfeld wystąpił z pierwszym koncertem zeszłego Piątku i świetnie rozpoczął muzyczny sezon Warszawy. Dyrektor Rebiczek zdobył sobie niemalą zasługę, przyuczywszy publiczność naszą do słuchania poważnej muzyki, a orkiestrę do jej wykonywania prawie bez zarzutu. Na pierwszych wieczorach symfonicznych w teatrze bywały pustki, dzisiaj sala jest zapelniona i zapewne tak dalej będzie, dopóki symfonie i kwartety kameralne nie wyjdą... z mody.

Wielką uroczystością dla melomanów przygotowuje pierwszy kapelmistrz naszej opery: zamierza wykonać arcydzieło muzyki całego świata, słynną dziewiątą symfonią Beethovena z chórami. Obawiam się tylko, czy nie będzie z nią to-samo, co z Don Juanem; publiczność nasza, pomimo pretensyi do znawstwa, przyjdzie zwabiona rozgłosem arcydzieła, ale chwalić będzie, aby holdować starej zasadzie: *jurare in verba magistri*.

Jeden Prus miał odwagę publicznie przyznać się w swojej Kronice Tygodniowej, że mu się „opera nad operami”, nieśmiertelna spuścizna Mozarta nie podobała i to drukowane zdanie będzie chyba unikatem w naszych czasach; ale wielu naszych znawców i melomanów z professyi, podpisałoby się pod niem — tylko niknącym atramentem!... Mozart, mimo to, pozostanie na drugi wiek jeszcze geniuszem, jak nim był przez całe ubiegłe stulecie, i rozkoszować się nim będą miłośnicy prostoty i poezyi w muzyce.

Wykonanie „Don Juana” na scenie warszawskiej, było dosyć chłodne, prozaiczne, sztywne, oficjalne, nie uwydatniło silniej ani charakteru, ani wszystkich piękności każdej z poszczególnych partyi; taki „Don Juan” nie mógł zachować opinii uwodziciela wszystkich serc — muzycznych i niemuzycznych.

W doskonałej obsadzie byłby uwiódł nawet kolegę Prusa,—tak mi się przynajmniej zdaje.

Quis.

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

Dr. Fritsche poruszył niedawno w „Kuryerze Warszawskim” kwestyą wychowawczą niemalego znaczenia: publiczne zabawy dzieci miejskich na świeżem powietrzu.—„Zabawy takie powinny być zbiorowe...” pisze Dr. Fritsche i uzasadnia to zdaniem swoje dowodząc, że dziecko szuka instynktownie towarzystwa innych dzieci i nabiera wśród nich fantazyi, wesołości, czuje pobudzoną w sobie ambicją okazania siły, zręczności, rzutkości dzielnej, nie chce być w tem prześcignięte, a razem wyrabia w sobie muskularność, śmiałość i energię. Dziecko leniwe, powolne, niezgrabne, uczuwa się zawstydzonem, i rozbudzone pragnienie dorównania innym każe mu się otrząsnąć z ociężałej gnuśności.

Możnaby tu dodać i eleganckiego synka eleganckiej mamy, w którym podobnie odzywa się wtedy głos męskiej dumy—w którym ta duma zmienia swój punkt ciężkości i wśród takich zapasów siły i zręczności przenosi się z wytwornej panickowości na zaszcztyt wypływający z dzielności osobistej. W gronie rodzinnem, w kole znajomych, nie da się to nigdy otrzymać w takisamym stopniu, bo tu arena jest szersza, młodzi szermierze nieznani sobie: więc znikają tu wszelkie różnice, przywileje światowe, i dziecko spotyka się, jak w życiu, najpierw z pojęciem równości, a potem z pojęciem zasługi—z zasadą: kto pierwszy, ten lepszy.

To, co niegdyś odbywało się w Zwierzyńcu Warszawskim: konwencyonalne zabawki w miej-

scu ciasnym, dusznym i gorącym, wśród natłoku patrzących, jak na widowisko sceniczne, miało zgoła inny charakter. Zgromadzano się tam jak dlatego, aby się wzajem przyjrzyć sobie, pokręcić się w kółko pod sądzącymi oczyma publiczności, zatem nie zdobywając sobie żadnej z tych korzyści, jakich chce dla dziecka Dr. Fritsche, lecz przeciwnie narażając je na niemałe straty, jakie wypływać muszą z zabawy wśród przytoczonych powyżej warunków.

Nie należałam również do zwolenników zimowych zabaw dzieci w Ujeżdżalni. Było to coś bardzo eleganckiego, coś nakształt balów dziecinnych z urozmaicheniem pewnem—coś, co przecież nie miało w sobie prostoty, swobody szczerzej, co rozbawiało dzieci środkami sztucznymi, niepedagogicznymi, różniąc się o cały świat pojęć edukacyjnych z tem, czego pragnie Dr. Fritsche, chcąc urządzenia w mieście naszym takich, jak w Niemczech, placów dla dzieci i młodzieży—przestrzeni rozległej, zupełnie bez spektatorów obcych, gdzie obok dzieci znajdują się głównie tylko matki, nauczycielki i piastunki, gdzie dla tego też dzieci przybywają w najprostszych, najzupełniej codziennych sukniach i bawią się jak dzieci—wesoło, ochoczo, bez cienia jakiegokolwiek pretensyi, mody, elegancji. Widziałam w tym roku w jednym z miast czeskich dwa takie place wśród rozległego parku, w pewnej, dość już znacznej odległości od siebie. Jeden był dla młodszych, drugi dla starszych dzieci, a ten ostatni z przyrządami gimnastycznymi w zastosowaniu do gier, rozwijających siłę i zręczność, jak chuśtawka, gra w piłkę, w kregle, w krokiecie. Tu zbiegali się też przeważnie chłopcy, gdy drewniana galerya, chroniąca dobrze od słońca i deszczu, przewiewna przecież, ściagała do siebie dziewczynki. Nie kosztowna, bynajmniej nie wykwintnie zbudowana, bo z nieociosanej sosny i brzeziny, była ona jednak wcale ładna: miała swój prosty styl, swój wdzięk. I dziewczynki rozbiegały się też po parku, brały między sobą lub w kółkach znajomych udział w gimnastycznych grach zręczności i rozwijania siły, a patrząc na to, porównywałam z żalem te swobodne, bezpretensjonalne, strojnictwem niedotknięte przebywanie dzieci na świeżym powietrzu z tem, co się widzi w Ogrodzie Saskim, w jednym wśród-miejjskim miejscu zgromadzania się dzieci.

Ogród Saski łączy z konieczności dwa, nie dające się pogodzić ze sobą, użytki: jest miejscem spaceru, często eleganckiego popisu, toaletowego turnieju starszych, i otwartą przestrzenią, gdzie dzieci przybywają dla ruchu na świeżym powietrzu. Próżność matek, jest tu narażona na próbę, która wydaje axamitne lub wykoronkowane sukienki, a z drugiej strony dzieci widzą zanadto ludzi postrojonych; razem to łączenie dorosłych ze starszymi jest niepedagogiczne, w skutkach swoich edukacyjnie złe, i Dr. Fritsche ma też najwyższą słuszość, wołając o takie, jak gdzieindziej, wyznaczone dla dzieci miejsce rozległe, gdzieby swobodnie i w warunkach potrzebnej pedagogicznej karności mogły oddychać swobodnie i rozwijać się pod względem fizycznym, bez żadnej szkody moralnej. Dr. Fritsche wymienia kilka takich szczytliwych miejscowości w Niemczech, gdzie stowarzyszeni ojcowie rodzin, lub pojedyncze osobistości dobrej woli, urządziły tak place publiczne, na użytek dzieci przez miasto oddane, że stały się one najdoskonalszą szkołą ćwiczeń ciała dla rosnącej młodzieży. Inne miasta poszły za tym przykładem, a municypalności widząc, jakim jest ztąd pożytek publiczny, wyznaczają na ten cel, prócz placów, zapomogi pieniężne na ich utrzymanie, wliczając to między wydatki, na uzdrowotnienie miast przeznaczone.

Dr. Fritsche wykazuje dalej, że w innych krajach z większą inicjatywą jednostek, działają w tym kierunku stowarzyszenia, liczące członków na tysiące. Do takich należy angielskie: *Narodowe stowarzyszenie zdrowia* (National health Society) i *Kobiece stowarzyszenie zdrowskości* (Ladies sanitary Association). To ostatnie stowarzyszenie, wyłącznie kobiece, uczyniło celem swoim urządzenie takich publicznych gier i zabaw dzieci na placach publicznych, służąc przez to dobru publicznemu przez przysparzanie krajowi

ludzi zdrowych i silnych, a zarazem dzielnych, zdolnych do ponoszenia tych prac i trudów, które wiązać się muszą najściślej z obowiązkami dobrych obywateli.

Każda matka może pojedynczo działać w tym kierunku przez rozumne wychowanie dzieci swoich, nierozpieszczanie ich, lecz przeciwnie hartowanie, odpowiednie do okoliczności i zasobów organizmu. Ale potrzeba już zespolenia sił, składki grosza publicznego, aby powstawały wśród miasta dobrze urządzone place lub ogrody gier dziecinnych. Nie zgadzam się tylko z Dr. Fritsche na ten jeden szczegół, aby dla zdobycia środków na ich utrzymanie wejście było płatne. Ponieważ wytwarzałyby to wydatek już coś znaczący, skoroby rzecz była ciągłotrwałem, więc jedynie pożytecznem użytkowaniem z instytucji, rodziny cofałyby się przed nim, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, coraz wzmagającej się niezamożności i zarazem zmienilby się zupełnie charakter przedsięwzięcia.

Stałoby się z konieczności to, czem, mimo najlepszej woli zakładających zrobiły się zabawy w Zwierzyńcu. Rodziny zamożniejsze przybywałyby tam z dziećmi w niedzielę, w święta, jak na każdy inny spacer, więc mniej więcej strojnie, z wyfryzowanymi też malcami, którzy spotykali tam innych malców, również wyfryzowanych i wytworzyłoby się z tego coś, jak niedzielne w południowych godzinach spacerowanie po Ogrodzie Saskim; tylko tu złe zwiększałoby się jeszcze, bo dzieci występowałyby na plan pierwszy. Potrzeba Warszawie placów i miejsc dla gier i ćwiczeń ciała—dla zdrowego na świeżym powietrzu ruchu dzieci; ale trzeba, aby były bezpłatne, przystępne dla mniej i więcej zamożnych, a wtedy tylko będą stale uczęszczane, więc rzeczywiście e pożyteczne i mogą w skutkach dopomóc do rozwijania się w dzieciach tych przymiotów moralnych i fizycznych, które Dr. Fritsche słusznie uważa za szczęśliwe owoce wpływów towarzyskich na dzieci.

— W ostatnim numerze francuskiego *Przeglądu Pedagogicznego*, znajduje się artykuł traktujący tak dziś ustawicznie rozbieraną kwestyą przeuczania się młodego pokolenia, lecz tu pisze kobieta o kobietach i nauce kobiecej: „A propos de nos filles”. Uczucie macierzyńskie skłania autorkę, że traktuje rzecz najpierw ze strony wpływów na zdrowie uczących się dziewcząt, i tu powołuje się na śledztwo stowarzyszenia lekarzy angielskich w przedmiocie dzisiejszej, wyższej nauki kobiet. Przełożone to było na język francuzki i wydrukowane w roku zeszłym w *Revue Scientifique*, gdzie autorka czytała rzecz, o której pisze: — „Cała ta praca pełna liczb i dowodów, jest to jeden krzyk trwogi”. Wydanym on został na podstawie badanych faktów, a wynik badań owych wykazuje, że dzisiejszy systemat nauki kobiecej jest nie tylko groźnym dla fizyczności kobiety, dla jej przyszłego powołania małżonki i matki, ale złe wpływa na jej władze intelektualne i rozwój moralny. Kobieta dzisiejsza więcej się uczy, ale z tej zwiększonej nauki odnosi korzyść mniejszą, niż dawniej, i trzeba powiedzieć, że właściwie posiada więcej wiadomości i zapasu naukowego, niżeli nauki w jej znaczeniu rozszerzania i rozświecania pojęć. Wrodzone zdolności kobiety stępują się w niej przez ciężar, który w ścisłym znaczeniu tego wyrazu nie jest za wielkim dla jej umysłu, jak raczej nie odpowiada jego obdarowaniu naturalnym i wskutek forsowania władz jednych, niższych u niej, a zaniedbywania tych innych, w których celuje, edukacja dzisiejsza wydaje niedobór najwyższej zdolności, która się zowie inteligencją!

Przy nauce, prowadzonej tak nienaturalnie, cierpią nie tylko pewne strony umysłu, ale i organizm fizyczny, co przez zaburzoną harmonią wewnętrzną oddziaływa nawet na charakter moralny. Dzisiejsza nauka dziewcząt ze swemi uniwersyteckimi examinami przy terminowym ograniczeniu czasu, rozdrażnia nerwowo systemat uczennic i niełatwo już potem przy tej ciężkiej wadzie fizycznej, utrzymać się na stanowisku owych dawnych, a zawsze i po wszystkie czasy najwyższej cenionych cnót kobiety. W ten-to spo-

sób przepada dla wielu kobiet dzisiejszych tradycyjna słodycz charakteru, łagodność i cierpliwość, bez których jakże trudnem jest życie wśród tych jego drobnych szczegółów codziennego istnienia, których doprowadzanie do jedności harmonijnej jest jednak zadaniem kobiety!

Przytem nauka przedłużona odbiera kobiecie możność kształcenia się i urabiania do tej pracy, która dla większości jest i będzie zawsze zawodową pracą kobiecą—do gospodarstwa domowego, do zajęć domowych żony i matki. Przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, i nie gozi się też wychowaniu lekceważąco trzymać dziewczę młode zdala od przyszłych jego prac i zajęć życiowych, bo czas dojrzewania istoty ludzkiej to chwila wyrocznego jej nagięcia, które potem trudno przewalczyć i zwyciężyć w sobie, nawet przy najlepszej woli, przy najsilniejszym poczuciu obowiązku.

Angielska kommissya edukacyjna departamentu londyńskiego, londyński *School-Board*, zamieściła w zeszłorocznym sprawozdaniu z postępu szkół żeńskich zdanie, zasługujące na najwyższą uwagę wychowawców, a to, że inteligencja i talenta kobiet nie posuwają się bynajmniej w kierunku zwiększonej nauki dziewcząt, a nawet, przeciwnie, zdają się obniżać. Wszystkie wyższe kobiety, tak w naukach, jak w literaturze, miały młodość spędzoną w warunkach ogólnie umiarkowanych dla nauki kobiecej, jako takiej, i dopiero potem, już dojrzawszy, powoli i bez nacisku na umysł, zdobywały sobie te wyższe wiadomości, przez które stały się znakomitemi pisarkami, lub w sztuce i naukach sławnymi kobietami.

M. I.

FILISTRY

Powieść oryginalnie napisana

przez

M. Gawalewicza.

(Dalszy ciąg).

Rotowicz poruszył się na krześle i, przerywając grzecznie Wolińskiemu, rzekł:

— Przepraszam pana, nie przesadzając wcale kwestyi, jak dziennik pański zechce nadal traktować tę sprawę, poprzestajemy na fakcie dokonanym dotychczas i przychodzimy zadać panu kilka pytań, na które zechcesz pan uprzejmie odpowiedzieć krótko, ale stanowczo. Po pierwsze, kto jest autorem dzisiejszego artykułu „o czynszownikach „Czynu”, powtóre kto za niego w danym razie przyjmuje odpowiedzialność?

Woliński zaczął się kręcić na swoim fotelu i udął, że nie rozumie zapytania.

— O jakiej odpowiedzialności pan mecenas mówi?—rzekł, spoglądając na Rotowicza zponad swych ciemnych okularów — jeśli chodzi o proces....

Dobezyc, który dotąd milczał, pozostawiając pierwszy głos swojemu towarzyszkowi, uśmiechnął się na ten wybieg Wolińskiego, i odparł:

— Pan redaktor zapoznaje widocznie charakter sprawy i nasz udział w niej. O procesie mowy być nie może; przychodzimy w imieniu naszego przyjaciela, pana Romualda Lackiego który czuje się najbardziej dotkniętym aluzjami artykułu, żądać satysfakcji, ale satysfakcji honorowej, żadnej innej.

— Ah, więc to ma znaczyć, że chcecie panowie pojedynku!—zawołał Woliński, wydymając usta i zakładając ręce na piersiach — to zupełnie co innego. Muszę panów w takim razie uprzedzić, że jestem z zasady przeciwny wszelkim pukanim i strzelaninom, które nigdy żadnej sprawy racjonalnie nie rozwiązują. Na moim stanowisku musiałbym codziennie komuś stawać na placu wobec drażliwości ludzi, którzy prawdy nie znoszą, a ja prawdy w bawelnę nie zwykłem nigdy obwijać.

— Jakto, więc pan odmawiasz?
— Powiedziałem panom, że się nie biję z zasady.

— W takim razie może autor artykułu pod względem pojęć honorowych różnić się z panem redaktorem? — wtracił znowu Dobczyca.

Woliński spojrział na mówiącego wzrokiem bazylijskim.

— Artykuł nie był podpisany, bo wyrażał przekonania całej redakcji — rzekł — redakcja jest właściwym autorem.

— Pod artykułem jest znak.

— Wykrzyknik, to i cóż z tego?... u nas zwykle wszystkie lepsze artykuły są w ten sposób podznaczane.

— Musi je zatem ktoś pisać.

— Rozumie się, że je pisze ktoś, do tego upoważniony.

— Czy w tym wypadku nie możemy prosić o jego nazwisko?

— Hm!... nie rozumiem, do czegooby to panom pomogło.

Rotowicz spojrział na Dobczyca znacząco i nieco podniesionym głosem zapytał:

— Więc stanowczo zamierzasz pan tę napisać osłonić anonimem i skorzystać z wygodnej zasady niedawania żadnej satysfakcji nikomu?

— Proszę pana — zaczął Woliński zuchwałym tonem — ja nie jestem obowiązany nikomu się tłumaczyć; macie panowie prasę, możecie odpowiadać, będziemy z sobą polemizowali. Ja jestem dziennikarzem i moją bronią jest pióro, a nie pałasz ani pistolet. Tęby mi się podobało, żeby musiał na lada widzimisię narażać życie swoje; ja mam poważniejsze obowiązki do spełniania wobec opinii i społeczeństwa, moi panowie.

Rozmowa zaczęła przybierać ton zaostrowany, świadkowie Romualda powstali z miejsc, Woliński cofnął się głębiej za swoim oszańcowaniem; sytuacja stawała się naprężoną. Obie strony nie mogły dojść do żadnego porozumienia.

Nagle drzwi, przymknięte do mieszkania głównego redaktora, otworzyły się i stanął w nich spokojny, z rękoma w kieszeniach, uśmiechnięty sardonicznie Waldzewski.

— O co to panom chodzi? — zaczął cedzić przez niedomknięte usta, skinąwszy głową na powitanie świadkom Romualda — zdaje mi się, że o mój artykuł dzisiejszy?... czy tak?... po co tyle krzyku w tej sprawie!... Mój drogi — dodał, zwracając się do Wolińskiego — pozwól mi prywatnie załatwić tę aferę z panami. Rzecz bardzo prosta, ktoś czuje się obrażonym przeze mnie, ja zaś nigdy satysfakcji nie odmawiam, jak panom musi być wiadomo, więc i w tym wypadku służę. Tylko chciałbym wiedzieć z kim właściwie bić się będę, z panem Fiszbaumem, czy z zięciem pana Fiszbauma?...

Ostatnie słowa wyrzekł z przymróżonemi oczyma i z lekkim odcieniem ironii, nie tracąc wcale miny człowieka spokojnego i zimnego aż do cynizmu.

— Przychodzimy w imieniu pana Romualda Lackiego — odrzekł Dobczyca z naciskiem, zrozumiałwszy złośliwą aluzję Waldzewskiego.

— Ach, to tem bardziej!... pan Lacki jest dobrym szlachcicem i osobiście mam dla niego wiele sympatii poza wszystkim; dziś nawet więcej, niż kiedykolwiek!... Panom zapewne zależy na pośpiechu?... i ja tak sądzę, że najlepiejby było tę sprawę zakończyć bez przewlekania. Moi świadkowie — podniósł nieco głowę, namyślając się, jakby wybierał z tłumu swych przyjaciół dwóch najgodniejszych — pan hr. Kalicki i p. Bończa — Zagielski jutro służąc będą panom o godzinie dziewiątej; czy dla panów nie zawczasie, tak rano?...

Woliński i Dobczyca skłonili się na znak zgody.

— Ślicznie, zatem porozumieliśmy się zupełnie w tem, co do nas należało — zwracając się zaś do Wolińskiego, dodał niby od niechcenia:

— W takim razie mój drugi artykuł każ wstrzymać aż do rozstrzygnięcia sprawy, bo może przyjdzie ci go wydrukować, jako moją pośmiertną spuściznę — dorzucił z melancholijnym uśmiechem.

Widocznie chciał się popisywać zimną krwią i wytrawnością pojedyńkowiec, przyzwyczajono-

nego lekceważyć sobie niebezpieczeństwo życia, z podrobioną rycerskością względem swojego przeciwnika.

Romuald wyczekiwał powrotu Rotowicza i Dobczyca, zamknięty w swoim gabinecie pod pozorem dokończenia ważnych listów, zaczętych przed obiadem. Pomimo całego panowania nad sobą, nie mógł się pozbyć pewnego rozdrażnienia i niepokoju; myślał o tem, co pocznie, jeżeli napastnicy jego pojedyńku nie przyjmą, jeżeli ani Woliński, ani Waldzewski bić się nie zechce.

Na biurku, pod przyciskiem brązowym, leżał numer „Ojcowizny”, który w tej chwili obiegał zapewne tysiące rąk w całym mieście, czytany skwapliwie, komentowany rozmaicie; dzisiejszego wieczoru postawiono pod pręgierz publiczny całe stronnictwo z jego przedstawicielami na czele. Romualdowi wydawało się wszelako, że on jeden stał się celem wszystkich najostrzejszych pocisków. I za co?... za to, że chciał cośkolwiek pożytecznego, dobrego, uczciwego robić w sferze swojego działania.

Przyszły mu na myśl słowa teścia i jego praktyczne, samolubne poglądy na świat i życie; on mu prawie wyprorokował dzisiaj to wszystko, ostrzegając przeciw.

Wieczorem mieli się spotkać po raz drugi dnia tego w kółku rodzinnym: jeżeli u Fiszbaumów czytano już „Ojcowiznę”, spotkanie to zapowiadało się dla Romualda nieznośnie; przewidywał scenę przykrą nad wyraz dla siebie, wolałby zamiast na wieczór do teścia, pójść od razu wśród nocy strzelać się do lasu, a choćby nawet paść od kuli przeciwnika. Ta myśl nie sprawiała mu takiej przykrości, jak spodziewana ewentualność słuchania nowych wyrzutów i roztrząsania całej sprawy w kółku familijnem.

Dzwonek u drzwi wchodowych ocknął go z tych rozmyślań samotnych; zerwał się z kanapy i pośpieszył naprzeciw wyczekiwanym gościom, ale zamiast nich, lokaj zameldował Słuckiego. Nie spodziewał się tej wizyty Romuald, więc z pewnem zdziwieniem powitał zdyszanego entuzystę, który rzucił się ciężko na fotel i do słowa przyjść nie mógł przez długą chwilę.

— Co ci się stało? — spytał go Lacki — jesteś cały wzburzony, znów jaka nowa awantura?...

Słucki spojrział na niego wzrokiem zrozpaczonego i kiwając boleśnie głową, odrzekł:

— Tak, mój drogi... wyobraź sobie: ja się nie mogę bić z Wolińskim!

— Dlaczego?... z jakiego powodu?

— Mam ręce skrępowane!... fatalnie!... nie mogę wyzywać człowieka, względem którego... no; co tu ukrywać — dwa lata temu, byłem w biedzie, poręczył za mnie u żyda na pięćset rubli, spłaciłem dwieście: trzysta jeszcze zostało; przed umorzeniem reszty nie mogłem przeciw w łeb palnąć swojemu żyrantowi!... powiadam ci, wściec mi się przyjdzie. Dyabli mi go wtedy podsunęli z tą przysługą... Mój drogi, każ mi podać wody sodowej, albo kieliszek wina.

Włosy przegarniał, ręce łamał, że aż mu palce w stawach trzeszczały, wdychał i czoło tańcowało z głębokim frasnikiem.

— Jak ja będę wyglądał przy was! — biadał razporaz — daję ci słowo uczciwości, najalby mi się jak koń do fornalki, żeby tylko lichwiarza spłacić, wexel podarty z podpisem rzucić tej bestyi w oczy i zrobić potem swoje. A tak! — muszę pozwolić kanaliom obszczekiwać się i szarpać publicznie! Jakiś ty szczęśliwy, że z długów wylazłeś, mój drogi, masz ręce rozwiązane, ot — nie tak, jak ja.

Mówił to tonem głębokiej szczerości i prawdziwego zgnębienia; łatwo przejmująca się na wskroś natura jego nie była zdolną do udawania. Wierzył i czuł to wszystko, co w danej chwili mówił, jakkolwiek gotów był zmienić od razu zdanie, za którym obstawał przedtem najgoręcej.

Romuald, nie namyślając się długo, poszedł do biurka, wydobyl z szuflady duży portfel, odliczył cztery tęczowe banknoty i podał je Słuckiemu.

— Weź i zapłać — rzekł — a potem zrób, co zechcesz.

Słucki oniemiał z podziwienia.

— Jakto?... ty mi pożyczasz? — wyjąkał wreszcie rzewnym głosem — ty mi dajesz pieniądze?...

na prawdę, chcesz mnie wykupić z niewoli lichwiarskiej? Nie, to nieprawda!...

Romuald włożył mu banknoty w boczną kieszeń tużurka, widząc, że ręki po nie nie śmie wyciągnąć.

— Ty mnie zawstydzasz Romualdzie, ja nie mogę przyjąć takiej przysługi od ciebie — mówił dalej Słucki — widzisz, z żydem to inna historia, żydowi płacę procent: nie zapłacę na termin, to nie mam skrupułu, bo musi mi zaprolongować, ale względem ciebie...

— Proszę cię, — nie mówmy więcej o tem — przerwał mu Lacki — zwrócisz mi, kiedy zechcesz; nie pilnego.

Słucki miał łzy w oczach, wyciągnął obie ręce do przyjaciela; opuścił go zwykły rezon, słów mu zabrakło ze zbytniego wzruszenia.

— Dziękuję... dziękuję — wyszepnął już tylko z przepełnionej piersi — ty jesteś szlachetny człowiek!

Wyjął potem z nagle postanowieniem banknoty z kieszeni, aby je schować do pugilaesu, ale zauważywszy, że cztery setki, odłożył z nich jedną i zwracając Romualdowi, rzekł:

— Pomyliłeś się... o sto za dużo; trzysta mi wystarczy.

Lacki powstrzymał go ręką.

— Weź więcej, zbierać się musiał procent zaległy; może ci zabraknąć — to nie wielka różnica.

— Nie, nie... będę miał dosyć trzysta; resztę dopłacę ze swoich, mam jeszcze trochę gotówki. Proszę cię odbierz tych sto rubli; ja korzystam z twojej przyjaźni jedynie, nie z twojej kieszeni. Dosyć mi łaski wyświadczasz. Bóg ci zapłać... stokrotnie!...

Rzucił mu się na szyję i ucałował go serdecznie na pożegnanie i podziękowanie zarazem. Nagle przyszła mu jakaś myśl do głowy, bo wrócił się ode drzwi i rzekł:

— Ale słuchaj, w jednym tylko wypadku nie oddam ci tych pieniędzy — oto gdyby mnie ta kanalia wyprosił na tamten świat; tylko, że ja go prędzej naszpikuję kulami, jak zającą. Zobaczysz jak ja się sprawię!...

Podał jeszcze raz Lackiemu swą szeroką muskularną rękę i ze słowami: „Bóg ci zapłać!” wyszedł spiesźnie z gabinetu, by popędzić do swego wierzyciela i spłacić resztę długu, która go zobowiązywała względem Wolińskiego.

W kilka minut po wyjściu Słuckiego Rotowicz z Dobczycem nadeszli z odpowiedzią, wyczekiwaną przez Romualda.

— Zatem przyjmuje wyzwanie stanowczo? — spytał Lacki, wysłuchawszy całego sprawozdania Rotowicza — jutro ułożycie panowie warunki?... pojutrze będzie się mogło odbyć spotkanie. Zdaje się całkowicie na panów.

— Jaką broń wolisz? — zagadnął go Dobczyca — pałasze, czy pistolety?

Romuald położył palec na ustach, dając mu znak, aby mówił ciszej; zdawało mu się bowiem, że pode drzwiami gabinetu od strony dalszych apartamentów posłyszał szelest jakiś.

— Wszystko mi jedno — rzekł zniżonym głosem — byle tylko tej sprawy zanadto nie rozmażywać. Liczę na dyskrecję panów zupełną.

— Miłe stosunki! — wtracił Dobczyca — uczciwy człowiek musi nastawiać głowę oszczercom i paszkwiliście, broniąc się przed publiczną napadą.

— Ha, trudno, mój doktorze — odrzekł Romuald — wiesz dobrze, że są choroby, na które tylko gwałtowne środki pomóż mogą.

U drzwi do salonu dało się słyszeć lekkie pukanie; Ludwika w ten sposób wywoływała zwykle męża, gdy potrzebowała się z nim porozumieć, a nie chciała wchodzić do jego gabinetu.

— Mój drogi — szeptała teraz do niego za portyera w salonie — ty jesteś jeszcze widocznie zajęty, więc ja pójdę do mamy sama, Mikołaj mnie odprowadzi. Widzisz, zawsze się gniewają na mnie, że najpóźniej przychodzę — tłumaczyła się, jak dziecko, zgromione w szkole i tuliła do jego piersi z pieczęcią. — Wszystko z twojej zawsze winy!...

Romuald przekonawszy się, że żona nie słyszała nic z rozmowy w gabinecie, odetchnął swobodniej; ale jej widok w takiej chwili, kiedy nie-

jako losy jego życia padały na szalę, stanowił przykry dlań kontrast z całą sytuacją.

— Proszę cię, zatrzymaj się jeszcze chwilę, pójdziemy razem — mówił przyciszonym głosem do Ludwika — nie chcę, ażebyś sama dziś szła do mamy. Za chwilę będę wolny.

Ucałowała go swoim zwyczajem w szyję, zamiast odpowiedzi, i odeszła.

Pieszczota żony była dla niego tym razem, jakby wyrzutem.

Wieczór, wbrew przewidywaniu Romualda, przeszedł u teściów całkiem spokojnie; Fiszbaumowie nie wiedzieli nic jeszcze o napastniczym artykule na zięcia.

Przed kolacją i po kolacyi w najściślejszym kółku rodzinnym grano w karty, a Romuald pierwszy raz udawał, że się przypatruje grze z zajęciem. Ten pozór dawał mu możność spokojnego rozmyślenia — przed burzą.

IV. Po burzy.

Świat nie umie być dyskretnym; wiadomość o pojedynku Romualda z Waldzewskim obiegła całe miasto, mówiono o szczegółach wyzwania, o największej tajemnicy szeptało sobie na ucho tak głośno, że tajemnica stawała się plotką publiczną, rozdymaną przez każde nowe usta.

Nie mogło być inaczej, skoro sam przeciwnik Lackiego nie uważał za stosowne milczeć. Dla Jasia Waldzewskiego pojedynek, jak wszystko, był środkiem nowego rozgłosu; wysuwał go na pierwszy plan, pasował na bohatera chwili, zwracał uwagę na pismo, którego był filarem. Bohater przybrał przeto minę, zastosowaną do okoliczności, stał się jeszcze bardziej wymuszonym, starał się pozować na ofiarę swego powołania i ciekawości publicznej.

W towarzystwach kolegów, w restauracyi, gdzie się stołował, w cukierni, gdzie pijał czarną kawę, dość niezręcznie nawet potraçał sam o ten przedmiot.

— Nie uwierzycie, jak mnie to nudzi — mówił melancholijnym, zniżonym głosem, niby od niechcenia — całe miasto zajmuje się sprawą, o której w gruncie rzeczy nie warto wspominać; no, cóż wielkiego, pojedynek! — dodawał z pogardliwym wzruszeniem ramion. — Nie wiem z kądem się już na prowincyi o tem dowiedziało; miałem dzisiaj listy z trzech stron od ludzi obcych mi zupełnie. Pocziwiny, zajmują się mną więcej, niż ja sam sobą.

W kieszeniach nosił kartony podziurawione na strzelnicę i asy powystrzelane dla wprawy dnia poprzedniego przed pojedyńkiem.

— Jaki pan jesteś szczęśliwy — mówił, ziewając ostentacyjnie do jednego ze znajomych przy herbacie w cukierni — będziesz się mógł jutro wyśpać do woli, a ja muszę o piątej rano już być na nogach z moimi przyjaciółmi... Czy ranki bardzo teraz są chłodne, nie wiesz pan? — pytał z udaną obojętnością — nie widziałem już kilka lat wschodu słońca, a jutro może ostatni raz go zobaczyć.

Tę zimną krew i pozę zachował także i na placu spotkania, jakgdyby zupełnie lekceważył sobie niebezpieczeństwo, albo wierzył ślepo swej dobrej gwiazdce i szczęściu fatalisty.

Romuald był spokojnym również, ale spokojnym z poważną rezygnacją człowieka, który sobie całkiem poważnie zdaje sprawę z tego, co robi.

Zanim stanęli na mecie, wziął pod ramię Dobczyca i, odprowadziwszy go na bok, rzekł mu w zaufaniu:

— W kieszeni paltota jest list, który gdybym poległ, chciał natychmiast wysłać pod wskazanym adresem; proszę cię o to.

Na komendę Rotowicza padły jednocześnie dwa strzały; kula Waldzewskiego poszła w bok i utkwiała w sośnie, kilka kroków za Romualdem, ale w tej samej chwili przeciwnik jego wydał lekki okrzyk i instynktownie schylił się ku ziemi.

Sekundanci podbiegli ku niemu w przypuszczeniu, że jest ranny. Jaś miał twarz bladą, ale spokojną.

— Jesteś pan ranny? — zawołał jeden z jego

sekundantów, podtrzymując go troskliwie pod ramię.

— Broń Boże — brzmiała odpowiedź — spadło mi *pince-nez* na ziemię i nie mogę go odszukać.

— Dzięki Bogu, że kula zgórowała — wtrącił w tej chwili drugi sekundant, wskazując palcem wyszarpaną smugę w cylindrze Waldzewskiego; — kilka cali niżej, byłbyś pan dostał strzał w same skronie.

Jaś machinalnym ruchem zdjął kapelusz z głowy, przypatrując się mu, usiłował uśmiechnąć się, ale mu wazkie zsiniałe usta drżały ze wzruszenia, którego już całkowicie opanować nie mógł.

— A prawda; szczególny wypadek — wycedził z tchem zapartym w piersi — czułem, że mnie coś szarpnęło za głowę... Szkoda cylindra, nowiuśki! — dodał, odzyskując swój sztuczny humor.

— Panowie: honorowi stało się zadość! — wyrekł ceremonialnie cichym głosem wygolony hr. Kalicki, pierwszy sekundant Waldzewskiego, uchylając z gracją kapelusza przed Lackim i jego towarzyszami.

Pożegnano się zimnym ukłonem i przeciwnicy, bez podania sobie ręki, rozeszli się w dwie strony ku powozom, oczekującym ich na drodze pod lasem.

Kiedy Romuald ze swojej rannej wyprawy, zręcznie w tajemnicy utrzymanej przed żoną, wrócił do domu, zastał Ludwikę jeszcze śpiącą. Pani Romualdowa zachowywała paniński zwyczaj budzenia się o południu a zasypiania dobrze po północy. W tym samym czasie, gdy mąż jej stawał naprzeciw wymierzonej lufy pistoletu swojego przeciwnika, ona marzyła słodko o rozkosznej willi nad morzem w Nizzy, którą jej rodzice co roku wynajmowali i gdzie niebawem miała się znaleźć z niemi; matka szepnęła jej bowiem na ucho, że projekt wspólnego wyjazdu został przez ojca powzięty z porady d-ra Gruszkiewicza po ostatniej konsultacyi.

— Pani Lacka — miał powiedzieć doktor do papy Fiszbauma — potrzebuje teraz wypoczynku, zmiany klimatu, słońca i ciepła; wywieźcie ją do Włoch na parę miesięcy, albo do Nizzy. Potrzeba jej wzmocnienia, sił więcej, rumieńców trochę. To anemiczno-hysteryczne pokolenie dzisiejszych mężatek wymaga ciągłego chuchania, dmuchania, pielęgnacyi. Jeżeli się pan chcesz doczekać zdrowego wnuka, to wywieźcie córkę jaknajrychlej.

Wspomnienie o wnuku rozrzewniło Fiszbauma.

— Myślisz konsyliarz, że będzie wnuk? — spytał Gruszkiewicz, biorąc go poufale pod ramię — ja panu powiem: żebym wiedział, że wnuk, to pojechałbym z nimi do Palermo... do Kairu nawet, nie tylko do Nizzy.

Łypał powiekami i krzywił się pocieszenie, co miało wyrażać szczególniejsze zadowolenie u niego. Doktor roześmiał się głośno:

— Co będzie napewno, tego panu nie wywróżę, ale to mi się zdaje, że coś będzie: wnuk albo wnuczka; w każdym razie nowa pociecha.

— Wiesz pan co? napijmy się kieliszek madery — zaproponował doktorowi uszczęśliwiony dziadek *in spe* — co to panu szkodzi; madera dobrze robi na taki czas.

Nadzieja wnuka, usposobiła Fiszbauma bardzo wesoło, a projekt wyjazdu przypadł mu bardzo do smaku, zwłaszcza po ostatniej rozmowie z zięciem; był to zarazem wygodny środek oderwania Romualda na pewien czas od jego planów i działalności publicznej, ostudzenia go z tej gorączki czynu, którą Fiszbaum uważał za chorobliwą i niepotrzebną dla zięcia człowieka, z natury i wyrachowania hołdującego oportunizmowi i polityce przeczornej bierności.

Napaść „Ojcowizny“ na stronnictwo „Czynu“ przysłała w samą porę Fiszbaumowi; zmartwił go skandaliczny ton i rozgłos tej sprawy, ale w głębi duszy mówił sobie:

— Może to lepiej poskutkuje od mojego gadania; doczekał się, czego chciał!

Nie mógł się wszelako powstrzymać od tego, aby zięciowi nie dać uczuć swojego niezadowolenia, przygotowywał się z nim do nowej rozprawy, ale w pierwszej chwili zrobił tylko minę poważnie zachmurzoną, numer z artykułem zakre-

ślonym niebieskim ołówkiem położył u siebie na stoliku, i pokazawszy go Romualdowi, krótko, ale bardzo dobitnie mruknął:

— Piękna historia... o?...

Obrzucił go potem spojrzeniem pełnym wyrzutu i zamilkł, jak Jowisz, zbierający pioruny. Wzdychał ciężko, postękiwał, w bokobrody się drapał, w zamyślenie wpadł i głową kiwał; od dwóch dni zachowywał ścisłą dyetę. Skarżył się na kolki i na migrenę a w rozmaitych tonacjach powtarzał ciągle: „Piękna historia!...“

Z domu przez cały czas nie wychodził, wstydział się pokazać na ulicy, zdawało mu się, że go całe miasto pokazywać będzie palcami.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

List z Rzymu.

Dnia 1 Listopada 1887 r.

Jubileusz Leona XIII zmienia nam tu w sposób niewypowiedziany fiziognomię miasta, i raczej przywraca mu jego rysy stare, które zdawały się już zatartymi i zwolna były zapomniane. Jak ci budownicy, którzy tego lata zabierając się do rozszerzenia nowego Rzymu, spotkali się przy kopaniu fundamentów od strony Góry Awentyńskiej ze starym Rzymem Cezarów, we wnętrzu ziemi schowanym i przelekli się niemal odkopanych ulic, świątyń, kolumnad, tak jubileusz papieżki odkrywa i na pełne światło dnia wyprowadza naraz Miasto Święte, istniejące tuż obok w ciszy i osłonie wiekowych swych cieni.

O jubileuszu słychać było więcej wszędzie indziej, niż w Rzymie samym; tylko w obrębie Watykanu wznoszono na ogromnym dziedzińcu „della Pigna“ pałac drewniany, przeznaczony na uroczystą wystawę darów jubileuszowych, które papież postanowił na widok publiczny wystawić. Gmach ten, czasowego jedynie użytku, bo postanowionem było drugostronnie wzniesienie kaplicy na stałe ich pomieszczenie, został pomysły przez architekta papieżkiego, hr. Vespignani i kunsztownie, i bynajmniej nie skąpo Mieści on w sobie znaczną liczbę wielkich, z góry oświetlonych sal, galerii i gabinetów, gdy oto rozeszła się w Rzymie pogłoska, że napływ darów jest ogromny, że nadsyłane ze wszystkich stron świata, tak w liczbę rosną, iż pomieścić się już tam nie będą mogły i papież przeznacza dodatkowo na ich przyjęcie trzy wielkie sale watykańskie: salę gobelinów, salę świeczników, salę map geograficznych i galerią napisów lapidarnych, długą, jak ulica. Gdyby zaś i to nie wystarczyło jeszcze, trzeba będzie wzniesić wśród ogrodów watykańskich gmach drugi.

Uderzyło to nie tylko już zapalną wyobraźnią Rzymian. Toż to hołd całego świata składany następcy Piotrowemu... Przypomniano sobie słowa króla Humberta wystawiane do syndyka Rzymu, a zapowiadające, że stolica Włoch otworzy gościnie i bezpiecznie bramy swoje na przyjęcie pielgrzymów, przybywających dla złożenia hołdu Najwyższemu Pasterzowi, i oto w połowie zeszłego miesiąca ta pielgrzymka narodów do Stolicy Apostolskiej rozpoczęła się. Pielgrzymi francuzcy w liczbie 2000 osób, z których około 1800 należało wyłącznie do spółek rzemieślniczych i robotniczych, a reszta składała się z towarzyszących im księży i kobiet, przybyli do Rzymu, który pod tym napływem gości nowego rodzaju spostrzegł się nagle innym, niż był wczoraj.

Pielgrzymi ci, ukazujący się gromadami na nowożytnie przetwarzających się jego ulicach, przywracali mu nagle charakter dawny, i oto *Miasto Święte* wystąpiło na widownię z majestatem swym niespożytem, i głowy Rzymian zwracały się mimowoli w stronę Watykanu, gdzie owi ludzie pociągali z choraćkami cechów

swoich i godeł ojczystych, przedstawiając lud Francji chrześcijańskiej. Akt ten cały był niewypowiedzianie uroczystym. Pielgrzymi dzielili się na północnych, którym przewodniczył Leon Harmel, i południowych pod wodzą hr. de Villechaise, ale naczelnikami ogólnymi pielgrzymów, byli: Arcybiskup z Reims kardynał Langénieux, i hr. de Mun, prezes francuskiego związku katolickich kół, czyli stowarzyszeń robotniczych, człowiek wielkiej powagi i znaczenia społecznego, poseł wybrany do parlamentu francuskiego, przez wiele tysięcy głosów.

Cała ta rzesza ogromna przybyła do Rzymu jednego dnia: 16 Października, w sobotę, podzielona na trzy wielkie gromady, przybyszające kolejno trzema przychodzącymi po sobie pociągami kolei żelaznej. Zamożniejsi rozkwaterowali się po hotelach i osteryach miejskich, uboższych podejmował kosztem swoim Papież. Szpital Ś-tej Marty, zamieniony w dom gościnny, otworzył im drzwi swoje, gdzie wszystkie ich potrzeby zaspakajane były. Wielki porządek i pewna godność poważna panowała między nimi, Rzymianie zaś, którym dotąd tkwi w sercu pamięć zajęcia Rzymu przez Francuzów i bitwa pod Mentoną, przyjmowali pielgrzymów bez żadnego braterskiego entuzjazmu, a nawet posepnie. Medyolan i wogóle te prowincje włoskie, które ulegały zaborowi Austrii, pamiętają, że to Francja odwaliała im z piersi kamień grobowy i czuła za to wdzięczność. Ale dumny, zacięty lud rzymski liczy się tylko z tem, co go ze strony Francji dotknęło—myśli o Nicei i Sabaudyi z mściwym uczuciem, które w sobie przeciwko Francji wyrobił. Przecież wszystko, aż do końca przeszło spokojnie, jak to przyrzekł król, a Crispi dopilnował i w każdym razie wrażenie uroczyste, wywarte na wyobraźnię i religijne uczucie ludu, pozostało....

Bo też z natury rzeczy wszystko musiało tu być uroczyste i wysokiego nastroju. Nazajutrz rano, o godzinie 7-ej, a była to Niedziela, pielgrzymi udali się całym tłumem do bazyliki Ś-go Piotra, gdzie przewódca ich kardynał francuski, odprawił dla nich mszę przed wielkim ołtarzem więc w głębi ogromnej, niezmiernie wyniosłej i wspaniałej świątyni. Msza była cicha, ponad ołtarzem w snopie złocistych promieni znajduje się zatopione starorzyskie krzesło kurulne, pierwszy tron papieżki, na którym przed ukrzyżowaniem swoim zasiadał Piotr Ś-ty, jako pierwszy pasterz chrześcijaństwa. Potem, po mszy, miano ukazywać pielgrzymom z wewnętrznego krużganka kościoła wielkie relikwie chrześcijaństwa: drzewo Krzyża Ś-go, grot włóczęni, którym setnik przeszył bok Chrystusowy, chustę Ś-tej Weroniki, i serca pobożnego ludu drżały wzruszeniem, pełne uroczystego nastroju.

Przy mszy wszyscy przyjmowali komunię i celebrujący kardynał udzielał jej przez trzy kwadransy, mimo, że mu pomagało dwóch monsignorów rzymskich, bo udzielić jej trzeba było dwóm tysiącom ust.

Po mszy pielgrzymi zaśpiewali pobożny hymn robotników francuskich: „Quand Jésus vint sur la terre, ce fut pour y travailler“.... a potem z wysokiego chóru ozwały się głosy śpiewaków Ś-go Piotra. „Ciebie Boga chwalimy!“ śpiewano przy potężnym akompaniamencie pielgrzymów i można sobie wyobrazić, jak brzmiał ten chór pod sklepieniem takim....

O godzinie 11-ej pielgrzymi znaleźli się w Watykanie. Posłuchanie mieli sobie udzielonem w Sali Książęcej, największej w Watykanie, do której szli przez schody królewskie, *Scala Regia*. W Sali Królewskiej, którą mijali, straż trzymała gwardya szwajcarska, halabardnicy w świetnych, malowniczych strojach według pomysłu i rysunku Michała Anioła. Wspaniałość miejsca tego jest niewypowiedziana i ogromna ta fala ludzi, bo się przyłączyło do pielgrzymów 1000 Francuzów w Rzymie zamieszkałych, płynęła przejęta wzruszeniem. Wchodząc pielgrzymi rozwiali chorągwie cechów i stowarzyszeń, między którymi były bardzo kosztowne i bardzo piękne. Okazało się ich dwieście: najprzedniejsze ustawiono wkoło papieżkiego tronu, inne wkoło sali,

lecz ta nie mogła objąć całego tego tłumu, który napelniał z kolei i Salę Królewską, a wtedy hr. Mun wstąpił na podwyższenie i przemówił. Papież jest sędziwy i zmęczony trudami swego powołania; jest sługą pokoju i przykre mu są wzruszenia burzliwe. Zna uczucia, jakie panują w ich sercu, więc prosi tylko o cichość—o milczenie! Ani okrzyków zapалу, ani przemów gorących... nie, nie....

Sprawiło to pielgrzymom przykrość wielką, ogromną, ale usłuchali. Z uderzeniem godziny 12-ej papież wszedł do sali, poprzedzony przez straż szlachecką, otoczony całym dworem swoim duchownym i świeckim, z szesnastoma kardynałami przy boku, i zasiadł na tronie pod baldachimem ciemno purpurowego axamitu, i mając po za sobą taką samą, purpurową oponę. Na tem tle wysoka, chuda, biała odziana postać Leona XIII, z ascetyczną siwą głową, z bladą, białą twarzą odbijała jak coś nieziemskiego i było to dla oczu wpatrzonego weń tłumu zjawisko raczej, niż człowiek, co podnosiło jeszcze wrażenie i wzruszenie, przenikające serca te proste i pobożne.

Kardynał Langénieux przemówił do Papieża, przedstawiając pielgrzymów; dalej hr. de Mun odczytał zwięzły, krótki adres, wyrażający, że ludność robotnicza francuska żąda tylko odrodzenia i uświęcenia pracy ręcznej. Gdy skończył, Papież podniósł się i przemówił doskonałą francuszczyzną, głosem dźwięcznym i wyraźnym, choć nie silnym, a przemowa była długa, głównie tej treści, że w chrześcijańskim pojmowaniu pracy znajduje się jedyne rozwiązanie kwestyi socyalnych. Chrześcijaństwo uszlachetnia pracę i podnosi ją do wyżyn cnoty, w której zamyka się godność osobista i wolność człowieka. Religia, kierując wzrok ludzki wwyż, ukazując cele inne jeszcze, niż używanie, uświęca w człowieku charakter jego istoty duchowej, oraz podnosi pracę jego i tudy, odziewając je majestatem moralnego i społecznego obowiązku.

Mowę tę, która została zakończona przestroga przeciw podszeptom idei przewrotu i błogosławieństwem pasterskim, powtórzyły w całości dzienniki. Papież był zbyt zmęczony, aby mógł przypuścić zaraz wierną rzeszę do tradycyjnego ucałowania mu nóg i przyjmował ją dni następnych, podzieloną na trzy części. Wtedy wchodził pomiędzy tych gości swoich, rozmawiał z nimi łaskawie, rozdawał medale Matki Boskiej, które sam im przypinał, a że wtedy nie było już tego tłoku i tej wystawnej uroczystości, jak dnia pierwszego, zapanowało za to w zgromadzeniu uczucie bardziej serdeczne, cieplejsze.

Pielgrzymi opuścili Rzym w czwartek; w wilią ich wyjazdu katolickie stowarzyszenie artystyczno-rzemieślnicze przyjmowało ich w lokalu swoim przy ulicy *Testa Spaccata*. Tam, prócz śpiewu i koncertu na mandolinach, to jest gitarach rzymskich, przemawiano do siebie wzajem: po przemowie hr. de Mun i kardynała Langénieux odzywał się monsignor Jacobini, sekretarz propagandy katolickiej i margrabia Crispolti, redaktor główny dziennika papieżkiego *Osservatore Romano*.

Wszystkie te przemówienia odnosiły się do kwestyi pracy rzemieślniczej i kwestyi socyalnej, a po rozmaitych *rin/fresco*, to jest chłodniach i słodyczach, pożegnano się po bratersku. Ale jeżeli lud rzymski, mimo zażaleń, które do Francuzów w sercu nosi, umiał się zachować do końca poważnie, to pewna część pielgrzymów, południowców, jak mówią, dopuściła się nieprzyzwoitości niemal świętokradzkiej, bo chodzi po Rzymie pogłoska, że w Panteonie, który zwiedzali, zelżyli popioły Wiktora Emmanuela namiętni i grubemi wyrazami, wpisanemi w księgę pamiątkową, leżącą w kaplicy obok jego grobu, a której zażądali. Niektórzy zaprzeczają temu i utrzymują, że tylko przemazali nazwiska swoje, dowiedziawszy się, że nie jest to księga ogólnie dla zwiedzających Panteon, ale dla czcicieli bohaterskiego króla, który stał się wybawicielem i zjednoczycielem Włoch. Zawsze fakt ten stał się smutnym cieniem wielkiej uroczystości.

Głównym dniem jubileuszu Papieża jest pierwszy dzień 1888 r. Papież będzie też miał dnia tego rano uroczystą mszę w bazylice Ś-go Piotra,

a we wszystkich kościołach Rzymu będą bić we dzwony przez ten czas, to jest godzinę całą. Wyszło z Watykanu rozporządzenie, aby w tym czasie dzwoniono również we wszystkich kościołach katolickiego świata.

Kapituła Ś-go Piotra zapragnęła, aby wieczorem w przeddzień i dnia następnego, to jest wieczorem 31 Grudnia 1887 r. i 1 Stycznia 1888 r. kopuła Kościoła Piotrowego została tak oświetlona, jak to bywało w dniach wielkich uroczystości przed 1870 r. Papież nie chciał sam rozstrzygać kwestyi i odesłał ją do komisji kardynała Schiaffino, mał pojednawczego ducha i patriotycznego włoskiego serca, można więc mieć nadzieję, że bazylika Ś-go Piotra rozplonie znowu po nad Rzymem dawnym blaskiem. Trzeba dodać nawiasem, że iluminacja ta jest dziełem tak kunsztownem i sprawia widok taki, iż dawniej Anglicy zjeżdżali na ten dzień do Rzymu, aby go oglądać.

Wystawa darów jubileuszowych zostanie bardzo uroczystie otwartą 2-go Stycznia. Włoski maestro, Meluzzi skomponował na ten akt antyfonę na 300 głosów. Gdy Papież wstąpi na próg wielkiej sali, chór ten olbrzymi zaśpiewa:—„Tu es Petrus“. Gounod napisał krótką kantatę: „Viva Leone!“ która się ozwie, gdy Papież skończy zagajenie wystawy.

Wtedy złożonym mu zostanie dar pierwszy: półtora miliona lirów, nadesłanych przez świat katolicki na mszę jubileuszową, które to pieniądze Papież odda natychmiast wielkiemu jałmużnikowi swemu z celem, aby wzniesiono za nie w Rzymie zakład dobroczynny jego imienia.

O darach innych jeszcze nikt dokładnie niepowiedzieć nie może. Nadechodzą z różnych stron wszystkich części świata. Hrabia Paryża ma przysłać Papieżowi wspaniałe piękne biuro do pisania, a na nim srebrny posąg Joanny d'Arc, kopię, w zmniejszeniu, dzieła wykonanego niedługo w marmurze przez Maryą Orleańską. Cudowna dziewica jest tu przedstawiona w pełnej zbroi, do piersi przyciska miecz o krzyżowej rękojeści, na który przysięgała nie spocząć, póki Francja nie zostanie wolną i szczęśliwą—oswobodzoną od wrogów swoich.

W Wiedniu wystawa darów, jakie mają być przesłane Papieżowi, zapelnia całą wielką salę muzeum sztuki. Wystawiona tam bielizna i aparata kościelne, oraz naczynia obrzędowe, są wielkiego bogactwa. Zbiorowym darem arcyksiążąt i arcyksiężniczek domu austriackiego jest wspaniały, drogiem kamieniami nasadzany relikwiarz w stylu XV wieku, w którym jest tyle relikwii świętych, ile dni w roku. Król Saski ofiaruje Papieżowi kopię sławnej biblii bazylejskiej: *Biblia Pauperum*, wysokiej artystycznej wartości przez miniatury i inicjały wykonane z niezmierną wiernością przez Ludwika Niepiera, prezesa artystycznej akademii w Lipsku. Że pasterz zasiadający na Stolicy Apostolskiej, jest jeszcze po dziś dzień dla katolickiego świata przedstawicielem Chrystusa—jest wielką wagą dla serc i duchów ludzkich, dowodzi tego wielki ten ruch, jakim się jubileusz jego zaznacza.

August.

NOWINY PARYŻKIE.

Paryż 31 Października 1887 r.

Nowy skandal.—Sprawa Caffarella i spółki.—General d'Andlau pani Limouzin, Wilson i inni.—Przenosiny pana zięcia.—Położenie pana Grévego.—Zemsta kobieca.—Symptomata rozprężenia i oficjalny rygorizm.—Nowa komedia Gondinet'a „Dégomé“ i wystąpienie policyi.—Otwarcie nowego liceum dla panien w Paryżu i projekt zniesienia zakładów, tak zwanych „Domów Legii Honorowej“.—Co się pod tem wszystkim ukrywa?—Nowy konkurs internatu szpitalów.—Panna Edwards nowy kandydat do tej posady.—Gorszące sceny w auli.—Ne-krologi: Admirał Jauréguiberry.—Em. Gonzalez.—P. de Vieil-Castel.—Cuvillier-Fleury.

Nawarzano tu znowu piwa, które się nie da może tak łatwo wypić. Wiecie już z czasopism

codziennych, o tak zwanym „Skandalu z legią honorową” — *alias*, o przekupstwie dla otrzymania tej tak pożądanej wstążeczki; z przekupstwem tem łączyły się wszelkiego rodzaju frymarki, jakich się mieli dopuścić niby wielcy i wysocy urzędnicy, szczególnie z ministerium wojny, a na ich czele, pomocnik naczelnika sztabu generalnego.

Tajemnicza zasłona okrywa jeszcze pobudki, które skłoniły do poruszenia tej brudnej nikczemnej sprawy i wytoczenia jej przed forum publiczne. Jak we wszystkich tego rodzaju sprawkach zawsze zostaje pewne ubocze, zakamarek, kącik, dokąd nie przenika światło dzienne, tak i w obecnej sprawie, pomimo bucznych rozgłosów, wiele jeszcze ciemnych stron pozostaje do rozjaśnienia.

Wicie już, że generał brygady Caffarel, pomocnik szefa sztabu ministra wojny, został już moralnie potępionym przez opinią o nadużywanie zaufania osób prywatnych przy zaciąganiu pożyczek, wystawianiu wexli i podpisywaniu zobowiązań, z łatwością i nieogłębnością osmnastoletniego sowizdrzała. Ale głównem jego przestępstwem którego dowieść mu mają, i niewątpliwie dowiodą, sądy, jest farmak krzyża legii honorowej. Mówiono w początku o sprzedawaniu ciekawym sąsiadom ważnych wojennych dokumentów z ministerium — wielki i ciężki zarzut, ale na poparcie go braknie dowodów.

Sprawa ta, według powszechnie przyjętej normy, wydać-by się powinna czysto-wojskowa, i jak się to dzieje wszędzie, punktu wyjścia do niej szukać należało w wyniku śledztwa administracyjnego, a w razie dopiero wynalezienia poważnych poszlak obwiniony mógłby być oddanym pod sąd wojskowy, sądzący według praw wojskowych.

W obecnym wypadku stało się zupełnie inaczej: najpierw nagle i zapomocą zwykłej policji bezpieczeństwa generał i kilka osób, to jest kilka kobiet intrygantek, znanych dobrze na bruku paryskim, zostało przytrzymanych i w tejsamej chwili, dzienniki rozmaitych odcieni odebrały półurzędowe zawiadomienie o tem przytrzymaniu podejrzanych osób i o rodzaju ciężących na nich oskarżeń.

Z jaką chciwością dzienniki rzuciły się na tę pastwę, niema się co dziwić. Jest to ich rzemiosło, każdy więc rozwałkował to poswojemu i w parę dni sprawa ta urosła do niesłychanej potęgi prawdziwego skandalu. Po generale Caffarelu znalazł się drugi jeszcze generał dywizji, senator, hr. d'Andlau, stary utracyusz, gracz i pasibrzuch zawołany. Zahaczono następnie deputowanego Wilsona, zięcia prezydenta Grévego, słowem: sprawa ta rozlała się jak oliwa, i z podejrzanych budoarów przeniosła się w końcu do Pałacu Elizejskiego, do mieszkania prezydenta, którego do tego stopnia obryzgano błotem, że dziś — zapominając już o Caffarelu, o pani Limozin, o p. d'Andlau i spółce, cała uwaga się zwraca na przenosiny pana zięcia z Elizeum, do nowo zbudowanego pałacyku przy Bulwarze Jena, na zwrócone przezeń pliki rządowych papierów zabranej nieprawnie z ministerium finansów, na wypłacone 40,000 franków, za nieprawne użycie przez lat sześć prezydenckiego stempla, zamiast marek pocztowych, na prywatnej korespondencji pana zięcia i wreszcie na zagrożenie dymissyą, z jakim wystąpił prezydent, jeżeli Izba Deputowanych przyjmie wniosek bonapartysty Cunéo d'Ornano i wyznaczy kommissyą śledczą do rozpatrzenia czynności p. Wilsona.

Oto jest, jak widzicie, śliczny bukiet!

Ci, od których zaczęły się poszukiwania i którzy mieli tak ważną odegrywać rolę, dziś spadli z pręgierza i zostali na stronie. Zaledwie, odesłani zostaną może przed sąd policji poprawczej, jako zwyczajni oszuści. Za wszystkie swe przewinienia Caffarel pozbawiony już został krzyża kommandorskiego legii honorowej i wykluczony ze służby — to jest dano mu dymissyą, z całkowitą należną mu emeryturą — i to, nie wskutek regularnego sądu, ale przez postanowienie osobnej, wyłącznej kommissyji, złożonej z generałów i pułkowników — i, jak powiada sentencja: jedynie za wykroczenie przeciw honorowi. Pozostałych fry-

marków i matactwa orderowego, dochodzić będzie prokuratora drogą sądu kryminalnego. Co zaś do akolitów, to jest, co do owych kobiet ostatniej kategorii i już pewnego wieku, te niewątpliwie w processie o order i wstążeczki wystąpią jako współoskarżone.

Dziennikarze skrajni i generał Boulanger krzyknęli odrazu, że cios był wymierzony na dawniejszego ministra wojny, którego kreaturą był Caffarel. Generał Boulanger, za to, że utrzymywał to zdanie wobec publiczności i przeciw swemu zwierzchnikowi, dostał nawet 30 dni aresztu. On i przyjaciele jego tak tłómaczyli całą tę sprawę: pochwycając generała Caffarela i owe brudne baby, spodziewali się nieprzyjacielem generała Boulangera, że znajdą w nich jakieś dane do zniesławienia generała, ale nieznalazłszy nic, musieli poprzestać na samym areszcie tylko.

Drudzy, niby bardzo głębocy politycy, szukali ważniejszej przyczyny i donioślejszego powodu. Opowiadali więc, że ministerium wobec układow, jakie się właśnie knuły, na początku tego miesiąca we Friedrichsruhe pomiędzy kanclesem niemieckim a prezesem włoskiego ministerium p. Crispi, aby odwrócić uwagę prasy francuskiej od tego zbyt drażliwego przedmiotu, mogącego wywołać polemikę i dotknąć wszechmocnego kanclerza, rzuciło ją dowcipnie na ten trop skandalu, który pochłoniął odrazu całą jej uwagę. Rzeczywiście, byłby to pomysł, — zbyt dowcipny.

Nakonec byli i tacy, którzy od samego początku widzieli i wiedzieli, że ta wojenna machina, ten taran, wymierzony był w Elizeum, i że, wysadziwszy z tamtąd p. Wilsona, wypchną też zarazem i teścia; to jest „Starego z Elizeum”, jak go nazywają skrajne dzienniki. Sytuacja w tej chwili napozór popiera to przewidywanie, a że stara zasada policyjna, w każdej sprawie zwikłanej każe szukać kobiety, znaleziono więc i kobietę, którą ma być żoną prezesa ministrów, p. Rouviera.

Wiadomo, że ta pani, w młodości swojej i pod imieniem „Claudy Vignon” odegrała w r. 1848 pewną rolę, dosyć hałaśliwą rolę — jakby powiedzieć? — artystyczno-plastyczno-filozoficzną, przepowiadając zupełną emancypację kobiety, z mównicy publicznych zbiegowisk. Była ona wówczas bardzo piękna, wymowna i już wyemancypowana. Skończyła jednak swój zawód, zginając łabędzią szyję pod jarzmo małżeńskie — i oddała rękę dzisiejszemu prezesowi ministrów we Francji.

Rygoryści z zaulka, katanowie z folwarku, mieli to zawsze do zarzucenia p. Rouvierowi. I kiedy go poraz pierwszy Gambetta, wprowadził do swego „wielkiego ministerium” zwrócono mu uwagę, co do mogących zdarzyć się następstw przy urzędowych przyjęciach, do których wchodzi i kobiety. — Ja go biorę, jako kawalera — odpowiedział wesoło trybun — i zamknął gębę tym urzędowym cenzorom obyczajów. Z tego rodzaju zastrzeżeniami i formalnościami miała się później nieraz spotykać ta pani w stosunkach z Elizeum. Powiedzieć sobie tedy musiała *in petto*: — „Jeśli wy mnie nie wpuszczacie na Pole Elizejskie — to ja was z nich wykurzę.” — Oczywiście, wygląda to wszystko na plotkę i w mojej kronice nie występuje też w charakterze poważnego faktu.

Biedny kraj! dziś właśnie, kiedy potrzebuje całej jasności swego rozumu, całego hartu swego charakteru, całej wytrwałości i siły, dziś właśnie musi zużywać to wszystko, na mycie tych brudów, z którymi spływa i jakaś część świetnych jego przymiotów — biedny! Ludzie tu dochodzą do tak dzikiego, wstrętnego egoizmu, o jakim trudno pomyśleć. Po co się nam wdawać, powiadają obojętnie, w te sprawy bułgarskie, tureckie, egipskie, kiedy mamy nasze własne kłopoty... *Pereat mundus* — byle tylko uratować takiego Wilsona, albo Ferry'ego. A tymczasem przyszłość gotuje ciężkie i wielkie zawody, bo biada takiemu, jak ten, krajowi, któryby się wzbraniał iść wielką i szeroką drogą jawności i sprawiedliwości w wewnętrznych swoich stosunkach.

Kiedy te groźne symptomata pokazują nam

z jednej strony, że rozluźnione i osłabłe spójnie społeczeństwa we Francji nie mają już tej tęgości i mocy, aby utrzymać każdego i wszystkich na drodze prawości i powagi; z drugiej strony widzimy to objawy takiego rygoryzmu, jaki się nie praktykował nawet pod rządami tyranów... Przychodzi mi tu powiedzieć słów kilka, o drażliwości pana ministra sprawiedliwości, z powodu pierwszego przedstawienia w Teatrze Gymnase nowej komedii w 3-ach aktach p. Gondineta.

Sztuka ta, zapowiedziana i zuchwalona naprzód i przeznaczona do świetnego otwarcia zimowego sezonu, doznała naraz opóźnienia i to opóźnienie było sprawą administracji, słowem: policja myśli, staruszka Anastazyja, jak ją przewzawali Francuzi, w postaci p. ministra sprawiedliwości, położyła swe veto! Zdziwienie dyrektora teatru; zdziwienie większe jeszcze — autora.

(Dokończenie nastąpi).

Obrazki z wojny francusko-niemieckiej.

II 1)

JAKÓB BRÛLEFORT

Przez JERZEGO RENARD

przekład

Maryi Kostrowickiej.

I.

Szedłem starą brukowaną drogą, prowadzącą do wioski, a ciężki to kawałek do przebycia, tak stromo wspina się pod górę. Znają go też dobrze na trzy mile wokoło; konie przebywają go powoli, dysząc; a po drugiej stronie zstępują jeszcze wolniej, zwykle trzymane przy pyskach przez woźniców obok idących.

Sierpniowe słońce dogrzewało tego dnia ognisćcie i zatrzymałem się trochę, aby odetchnąć, a ktoś idący za mną, dogoniwszy mnie teraz, pozdrowił przyjaźnie, bo był to stary, poczciwy Piotr Sausage, właściciel oberży pod „Wschodzącym słońcem” — oberży wybornie umieszczonej na szczycie wzgórza, którego przebycie pobudzało pragnienie. Rad byłem wielce, iż będę miał z kim pogawędzić, i szliśmy dalej razem. Nie tak jakoś człowiekowi upał dokucza, gdy idzie z towarzyszem i rozmawia.

Po obudwóch stronach drogi ciągnął się park, a okalający go mur biały, nagły, rozpalony, zamiast udzielać cienia, ział na nas istnym żarem. Park i mur kończyły się na zakręcie, ale droga wspinała się jeszcze prostopadłej, stając się coraz przykrzejszą. Było to miejsce, którego jeźdźni najbardziej się obawiali. Kamień rzucony byłby się niezawodnie stoczył aż na dół, nie zatrzymując się nigdzie. Prawdziwy gościniec do raju — jak mówiono na wsi — i rzeczywiście zdawał się nieba dosięgać, w górę bowiem nic nie było widać oprócz błękitu niebios, na którego tle odbijał się wydatnie sztyl „Wschodzącego słońca.” Po obudwóch bokach góry białeły gdzieś niedaleko domki, przy końcu zaś drogi po jednej stronie znajdował się głęboki parów, zarośnięty krzakami i dochodzący aż do koryta rzeki, płynącej w głębi. Żywopłot ostrokrzewiu obrzeżał i zakrywał spadziastą ścianą parowu, a ta wązka zielona zaporą stanowiła zarazem jedyną ochronę przed niebezpieczeństwem upadku.

Uwagę moję zwróciła wielka szczerba w żywopłocie, jakgdyby gwałtownie dokonany wylom. Splecione suche gałęzie i rzadkie nowe pędy nie zakrywały szerokiego otworu.

— Czy zdarzył się tu jakiś przypadek?—zapytałem towarzysza.

— O, coś więcej na wet—odparł. Żywopłot ten jest jak stary inwalida: ma jeszcze blizny po wojnie. Stała się tu rzecz straszna!

— Opowiedzcie mi to p. Piotrze—zawołałem.

— Kiedy długo-by to trzeba mówić.

— Tem lepiej!..

Stary nie kazał się dłużej prosić i, gdy wspinał się pod górę, zaczął mówić:

— Było to 17 Grudnia, nieszczęsnej pamięci 1870 roku. Oj! nie zapomnę ja nigdy tej daty. W wigilię tego dnia popołudniu przyszli do wioski Niemcy, oddział wojska. W pierwszej chwili nie wielką to zwróciło uwagę; już oswoiliśmy się z tym widokiem, bo przecież wioska leży przy trakcie z Niemiec idącym, i od trzech miesięcy napatrzyliśmy się dość spiczastych kasków i niebieskich czapek z czerwonymi lampasami—Prusaków, Bawarczyków, ułanów, artylerzystów, kirassyerów i piechoty. Waliło się to i waliło bez końca! Nie zatrzymywali się długo, tyle czasu przecież aby wszystko pożreć; już nam zabrali zboże, owies, krowy, owce, które bili zaraz, zostawiając nam w zamian świstki zagryzłonego papieru. Objadłszy nas, schodzili z góry, przebywali dolinę, ciągnąc w stronę Paryża. Podczas nocy, gdy wiał wiatr zachodni, przynosił nam od tamtej strony głuche odgłosy strzałów armatnich—to Paryż wzywał na pomoc. Daremnie przecież o nią wołał... daremnie ludziliśmy się nadzieją, że tak zostać nie może! Naszych jak nie było, tak nie było, a pulki niemieckie ciągnęły bezustannie. Założyłbym się, iż tą drogą, którą idziemy, przemaszerowało ich co najmniej sto tysięcy. My nie mogliśmy nic poradzić i patrzyliśmy tylko smutnym wzrokiem na przechodzących, jak się patrzy na płynącą falę wylewającej rzeki.

— Tym razem, był to tylko batalion piechoty. Zatrzymał się tam na górze, wprost mego domu, na kościelnym placu. Musiało przecież zajść coś nadzwyczajnego, gdyż żołnierze stali z bronią w rękę, a oficerowie zebrani w koło, klęli i wrzeszczeli; słyszałem ich u siebie w domu. Komendant—można powiedzieć—wściekał się. Jakbym go widział jeszcze: chłopisko wysokie, na bladej twarzy miał czerwoną szramę, na spiczastym długim nosie siedziała para okularów, białe wąsy, z rudawym gdzieś w łosiem, sterczały jak miotły, a chodził tak śmiesznie, że w życiu mojem takiego człowieka nie spotkałem: stąpał z góry jak po jajach, przytem kołysał się na wszystkie strony, jak drzewina na wietrze.

Gdy tak się pieniał i złościł, jeden z oficerów wskazał mu dom, stojący naprzeciwko mojej oberży. Komendant zdawał się nagle uradowanym, zaszwarzotał coś poswojemu, czterech ludzi wystąpiło z szeregu; on wraz z nimi i z oficerem, który dom wskazał, poszedł tam prosto; spojrzeli na sztyl, przeczytał głośno: *Jakob Brûlefort. mechanik. Naprawia maszyny...* poczem pchnął drzwi i wkroczył do izby z oficerem.

Łamałem sobie głowę: czego Prusacy mogli chcieć od Jakóba, lecz pomyślałem zaraz:—Strzeż Boże, nieszczęścia! Bo to trzeba panu wiedzieć że Jakób nienawidził Prusaków i był gorączka wielki. Stary żołnierz armii afrykańskiej, chociaż minęła mu już czterdziestka, dziarski był i odważny, tak, że niech się niejeden młody schowa. Średniego wzrostu i nie zbyt też piękny, tak długo wojował z Beduinami, że sam wyglądał

trochę na Murzyna, ale zwinny był jak kot, a wytrwały, jak prawdziwy żuaw, jakim też był.

O! temu strach nie mroził serca, ani nie kazał spuszczać oczu przed Prusakami. Od wypowiedzenia wojny był w ciągłym gniewie. Trzeba go było posłuchać, jak się unosił w wielkiej sali oberży, przeklinając tchórzostwo mieszcuchów i cesarza, że nawet umrzeć porządnie nie umiał. Pięściami w stół walił, jakby to były pruskie karki. Już to żył w ciągłej gorączce i na własne oczy widziałem, jak płakał, szlochał jak małe dziecko, gdy przyszła wieść o wydaniu Metz przez Bazaine'a. Po każdej złej nowinie, a Bóg wie, czy ich brakowało! rwał się, aby iść bić się, ale trzymała go żona i dzieciak, chłopiec dziesięcioletni, których-by zostawił bez grosza i bez kawałka chleba w domu. Został więc, ale jakgdyby się tego wstydził, ciągle myślał, aby Niemcom jakiś bal wyprawić. Za każdym razem, gdy Prusacy przechodzili, zamykał się w izbie, aby na nich nie patrzeć, a jeżeli wyznaczono u niego kwaterek, to zawsze wołał płacić za nich w oberży, byle tylko nie mieć pod swoim dachem tych rozbójników—jak ich nazywał.

Widząc więc oficerów pruskich, wchodzących do Jakóba, mówiłem sobie—No, nie obejdzie się tam bez awantury! I nie omyliłem się też... Nie upłynęło trzech minut od wejścia Niemców do domu, gdy usłyszałem trzask drzwi i głośnie krzyki. Komendant, czerwony jak kogut, wyskoczył na próg, krzyknął na żołnierzy, a ja domyśliłem się zaraz, że pewno będą brać Jakóba. Ale nie wzięli go, bo zobaczyłem zaraz mężczyznę wyskakującego oknem z poddasza. Jakób to był... Wyskoczył szczęśliwie i leciał, jakgdyby ziemia paliła się pod nim. Niedługo potem z tegosamego okna wychyliła się gęba Prusaka... A jak spojrział, gdy zobaczył zbiega o jakie trzysta kroków! Oficerowie klęli, że aż dusza rosła. Komendantowi nos się wyciągnął na łokieć.

Ten nie wyskoczył przez okno za Jakóbem, ale leciał ze schodów ze swymi ludźmi, jak na złamanie karku. Krzyknął jeszcze na kilku innych i kazał im gonić uciekającego, ale ani widu, ani słychu już po nim nie było. Znikł, przepadł! Przepatrzyli każdy krzak, zajrzeli w każdy kąt, na cmentarzu, za kościołem. Nie było go w lasku, nie było widać na drodze ciągnącej się prosto, jak wystrzelił. Gdzie ten człowiek mógł się schować u dyabła? Noc zapadła, daremnie latał, daremnie komendant klął, aż w końcu sforgończyła powróciła z niczem. Cała wioska na plac wyległa; naturalnie, udawano obojętność, ale, patrząc na głupie miny Prusaków, niejeden miał wielką chętkę do śmiechu.

Wszyscy już wiedzieli, jak to było. Moja żona pobiegła do Jakóbowej po wiadomości, bo moja kobieta dobry ma język—obrotny co się zowie. Biedna Jakóbowia drżała jak liść i płakała. Pruski komendant chciał zabrać Jakóba i to zaraz, natychmiast, bo potrzebował go do naprawienia maszyny parowej, którą eskortował, a która mu utknęła o kwadrans drogi za wioską. Poprzedniej nocy, gdy ciągnęli przez las, niemieckiego mechanika zabił jakiś przyczajony za krzakiem wolny strzelec; trzeba im więc było kogoś, co by go zastąpił i poprowadził dalej maszynę, ciągnącą olbrzymie działo pod Paryż, do bombardowania go. Otóż komendant chciał, aby Jakób to zrobił, jakby on był Prusakiem na jego zawołanie. Dobrze się wybrał! Jakób, gdy to usłyszał, zbladł jak ściana. Że mu rozkazywano hardo, hardo też odpowiedział, iż nie ma obowiązku tego czynić. Komendant krzyknął:—Każę ci... a on się zaśmiał.

— A jeżeli nie usłucham... to co?—odpowiedział.

— Zmuszę cię—ryknęło szwabisko.

Ten dobrze mówił po francuzku i umiał ostro wytrzeszczać ślepie, ale nie znał Jakóba. Zuch jednym skokiem dopadł drzwi, wiodących do drugiej izby i zemknął w lot. Najpierw na górę, a potem z góry na dół—przez okno... Myśleliśmy wszyscy, że na tem się skończy, ale te pruskie kańciaste głowy uparte są, gorzej od mułów; to też w kilka minut później odechciało się wszystkim śmiechu. Komendant oświadczył merowi, iż pozostanie przez noc w wiosce. Wkrótce każdy dostał kilku Prusaków na kwaterę, a patrząc jak się to rozbijało po domu, rozkładało przed kominem lub rozpierało przy stole—słuchając ich szwargotu i myśląc, że może ich karabiny nie jednego naszego chłopca wyprawiły na tamten świat, och! ścisnęło się na to serce, choć już można było się przyzwyczaić...

U nas w oberży stanął—naturalnie, zadarmo—komendant i dwóch oficerów. Komendant zły, jak sam dyabeł, posępny, chodził po głównej sali, nagle patrzył—zatrzymał się i uśmiecha do siebie. Zły znak! pomyślałem, on też zawołał zaraz żołnierzy i coś im rozkazał, ukazując dom Jakóba. Nie rozumiałem, czego tam mógł jeszcze chcieć, ale dowiedziałem się niedługo, co to pruski rozum! Na ulicy zawrzało; rozległy się i śmiechy i krzyki, a drzwi oberży rozwarły się gwałtownie i wepchnięto do sali kobietę, którą czterech drabów z domu wywlokło. Ten to był pomyśl pana komendanta, który powiedział sobie, że najpewniejszym sposobem dostania męża, jest schwytać żonę. Dla tego kazał aresztować Jakóbową.

Chłopiec—można powiedzieć—prawdziwy syn swego ojca, a śmiały jak kogucik, próbował bronić matkę; uciekł się jednego z Prusaków, wrzeszczał, bił pięściami, kopał, usiłował kłasać ręce, co go przytrzymały, ale biedaczek! nie mógł nawet pozostać przy matce! Wyrzucono dzieciaka za drzwi, dawszy mu kolbą w plecy, i słysząc było czas jakiś, jak wśród nocnych ciemności płakał z zimna i żalu. Jakóbową jakgdyby oszalała. Z włosami roztarganymi, wyrwała się z rąk żołnierzy, wymyślała komendantowi, nazywając go zbrojcem, nieczemnikiem, ale on stał jak pień i nie wzruszał się tem wcale, czem go częstowała; drwił, mówiąc:

— Nie złość się, babo! Będiesz wolną, skoro tylko mąż twój powróci. Lecz jeżeli nie wróci, będziesz więźniem w jego miejsce i pójdziesz z nami. To go nauczy słuchać tych, którzy mogą mu rozkazywać, bo są mocniejsi od niego.

I gdy biedne kobiecisko, pilnowane przez dwóch żołnierzy, płakało gorzkiemi łzami w kącie sali, pan komendant, wraz z dwoma oficerami siedząc przy stole w drugim końcu, jadł za szczęściu a pił za dziesięciu, bo go przecież nic nie kosztowało, ani szeląga.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się Arkusz 7-my powieści pod tytułem *Godność kobiety*, przez H. Heinberg.

TREŚĆ: Pogawędka. — Notatki pedagogiczne, przez Maryą Illicką. — Filistry, powieść, (dalszy ciąg), przez M. Gawalewicz. — List z Rzymu. — Nowiny paryżskie. — Obrazki z wojny francuzko-niemieckiej, II. przekład M. Kostrowickiej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: *Godność kobiety*, przez H. Heinberg. — 21 wzorów ubiorów i robót z opisem. — Sekretna gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

Доволено Цензурою. — Варшава, 28 Октября 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Mufka dla dziewczynki od 6 do 8 lat robotą szydełkową.

Rycina Nr 12 w Blu. Nr 44.

Mufka wykonana zefirową włóczką, ścięciem tunetańskim obranego koloru. Przedewszystkiem zrobić podkład z waty 25 cent. szeroki, a 40 cent. długi i pokryć go z obydwóch stron ciemno-pasowym kaszmiem. Brzegi mufki otoczyć plisą 12 cent. szeroką, z atlasu ciemno-pasowego, złożonego podwójnie i ułożonego w fałdy. Co do wykonania szydełkowej roboty, rozpocząć łańcuszkiem zвычайnym, zrobiwszy znanym tunetańskim ścięciem 2 koleje tam i napowrót, z których w pierwszej oczko ująć, w drugiej zaś dodać. Następnie w dolne żyłki ostatniego rzędu 1 kolej ścis. łańc. ocz., powtarzając pierwsze dwa rzędy 28 razy, poczem znowu wymienioną kolej ścis. o. łańc. Przy tem przy każdym powtórzeniu, po odwróceniu roboty, ocz. pierwszej kolei pierwszego rzędu przeciągnąć przez żyłkę każdego oczka poprzedniej kolei. Następnie otoczyć robotę, wyjąwszy brzegu rozpoczynającego, rzędem luków, robiąc naprzemian 1 ścis. ocz. w 3 ocz. następnego rzędu, 7 słup. w 3 ocz. następnego rzędu. Następnie ułożyć robotę na przygotowanej mufce podług ryciny, ułożyć w środku w fałdy i przewiązać paskami ze wstążki. Z dwóch stron brzegów przyszyć elastyki, oraz wstążkę atlasową, 80 cent. długą podług ryciny.

Wstawka do firanek, stor i t. p. szydełkową robotą.

Rycina Nr 19 w Blu. Nr 44.

Wstawka zrobiona ze średniej grubości krętej bawełny koloru kremowego, składa się z 3 rzędów pojedynczych gwiazdek, połączonych ze sobą podług wzoru pajęczkami, oraz kilkoma kolejami wykonanemi wzdłuż. Każdą gwiazdkę rozpocząć od środka na kółeczku z 9 pow. ocz. i 1 ści. ocz. Kolej 1: 5 pow. ocz., * 1 podw. sł. w koło, przytem jak również przy każdym następnym podwójn. słupku przed połączeniem z dolną żyłką, przeciągnąć najbliżej na szydełku będące o., przez 1 ocz., 1 o. pow., 2 podw. sł. przedzielone 7 o. pow. w koło, 1 o. pow., od * 6 razy powtórzyć. Następnie 2 podwójne słupki przedzielone 1 o. pow., w kółko, 7 pow. ocz. i 1 ści. ocz. w ostatnie z 5 pow. ocz. Kolej 2: * 1 ści. o. w najbliższe pojedyncze pow. o. 8 ści. ocz. z których 3 i 4, 4 i 5 i 6 przedzielone 4 pow. ocz. w najbliższy luk pow. ocz., 1 ści. ocz. w następne

pojedyncze pow. ocz., od * 7 razy powtórzyć, jednak zamiast ostatniego ści. ocz., 1 ściśle oczko w pierwsze ści. ocz. tej kolei. Nitkę umocować i obciąć. Tym sposobem zakończona pierwsza gwiazdka i tak samo wszystkie inne wykonywać, ale w 2 kolei każde ze środkowych 4 pow. ocz. 6 luku spoić z takim samym ocz. 2 luku poprzedniej gwiazdki. Przy wykonywaniu następnych 2 rzędów, należy oprócz tego środkowe pow. ocz. ostatniego luku każdej gwiazdki, spoić z 4 lukiem odpowiedniej gwiazdki poprzedniego rzędu. Do wykonania pajęczków rozpocząć od środka kółeczka z 5 pow. ocz. i 1 ści. ocz. i wykonać 4 razy naprzemian: 2 ści. ocz. w kółko, 3 pikoty (to jest 5 pow. ocz. i 1 ści. łańc. ocz. w 1 z nich), łącząc każdy ze środkowych pik., z każdym z 4 wolnych luków gwiazdki. W końcu 1 ści. łańc. ocz. w 1 ści. ocz. Wtedy wykonać wzdłuż połączonych gwiazdek 1 kolej, * 1 sł. w środkowe 4 pow. ocz. w 1 jeszcze wolny luk następnej gwiazdy, 9 pow. ocz., 1 ści. ocz. w takie same o. następnego luku, 9 pow. o., 1 sł. w środkowe 4 pow. ocz. 3 wolnego jeszcze luku tej gwiazdy, 9 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 2 ciągle naprzemian: 2 słupki w najbliższe 2 ocz., 3 pow. ocz., 3 ocz. opuścić. Kolej 3 ciągle naprzemian: 1 ści. ocz. w środkowe z najbliższych 3 pow. ocz., 8 pow. ocz. Kolej 4 ciągle naprzemian: 2 sł. w środkowe dwa najbliższe 8 pow. ocz., 3 pow. ocz.

Pokrycie na kanapę haftowane.

Rycina Nr 20 w B. Nr 44. Deseń pier. str. tabl. Nr VI, fig. 31

Pokrycie to 31 cent. szerokie, nie licząc frendzli, jest połączeniem „Brokat-kanwy“ i bronzowego pluszu, deseni częściami malowany, częściami haftowany, a dolny brzeg ozdobiony frendzlą ze szneli, cienkiej włóczki i przędzy karbowanej, Skrajać pas stosownej długości, a 20 cent. szerokości „Brokat-kanwy“, podszycie białym muslinem i naszyć w odstępach 21 cent., na 3 cent. szeroko galonem złotym podłożonym pluszem w ten sposób, ażeby z każdego brzegu plusz utworzył pas, podług ryciny, 8 cent. szeroki. Dół naszycia galonem zakończyć małemi wzorkami wyciętymi z brokateli i obwiedzionemi złotym sznureczkiem na zewnątrz, a brązowym wewnątrz. Tło pustych miejsc ozdobić wycinanemi wzorkami, podług fig. 31 i otoczyć sznelą niebieską, ciemno-pasową i duńską, oraz metalicznym sznureczkiem, a wszystko umocować po wierzchu cienkim jedwabiem. Następnie podszycie i ozdobić podług ryciny frendzlą.

Przykrycie na lampę

Rycina Nr 21 w Blu. Nr 44.

Przykrycie, czyli „abat-jour“ z różowej faille i białej koronki. Ukroić z materji różowej 5 trójkątów z prostej strony na 45 cent. i takowe wyciąć w zęby i ułożyć z ukośnej strony w kontrafałdy zwrócone w środku do siebie. Następnie koronkę 30 cent. szeroką przeciąć od jednego poprzecznego brzegu do drugiego 5 części, po 80 cent. długie, obrębić z prostego brzegu z obydwóch stron i ułożyć w fałdy mniej więcej 4½ c. szerokie. Następnie objąć fałdy wstążeczką podszytą drutem i połączyć kolejno części jedwabne z koronkowemi, uważając, aby część koronkowa była na wierzchu. Z materji 2 i pół cent. szerokiej ułożyć w fałdy nagłowek, objąć wstążeczką atlasową z pikotami pół cent. szerokiemi i zakończyć podług ryciny pletnią ze wstążki. Zamocować wszystko pod spodem.

Spódniczka dla dziewczynki od 1 do 2 lat robotą szydełkową.

Rycina Nr 22 — 24 w Blu. Nr 44.

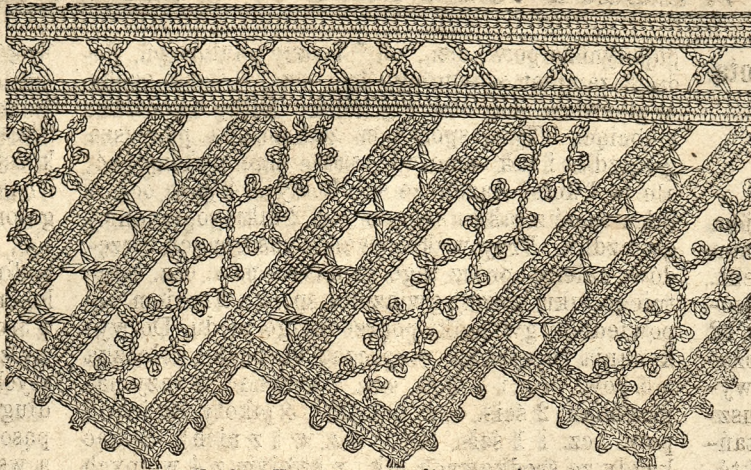
Spódniczka ta z białej gobelinowej włóczki, robi się wzdłuż ści. ocz., podług ryc. 23, otoczona wolantem. U góry połączona jest z karczkiem. Rozpocząć robotę na założeniu 20 luźnych ocz. Kolej 1: Pierwsze ocz. opuścić, następnie 1 ści. ocz. w każde ocz. do końca rzędu. Kolej 2: 1 pow. ocz. następnie ciągle 1 ści. ocz. w przednią żyłkę każdego ści. ocz. poprzedniej kolei. Takich samych kolei wykonać 140 i połączyć ocz. ostatniej kolei z założeniem. Następnie obrobić dolny brzeg 1 koleją ści. oczek i wykonać górną



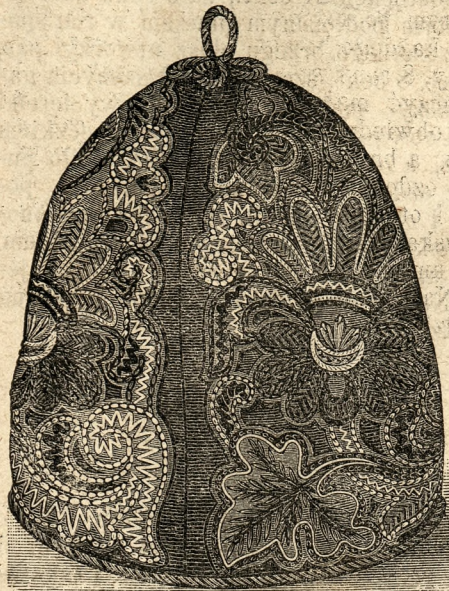
Nr 1. Suknia z materiału jedwabnego faille i aksamitu.

Nr 2. Suknia wizytowa z popeliny i aksamitu. Plecy. (Do ryc. 15).

węższą falbankę podług ryciny 16. Kolej 1 ciągle naprzemian: 3 ści. ocz. w najbliższe 3 ocz., 3 pow. ocz., naostatek 1 ści. łańc. o. w 1 ści. ocz. tejże kolei. Kolej 2 ciągle: 4 ści. ocz., a pomiędzy środkowymi dwoma 3



Nr 3. Koronka szydełkowa robota.



Nr 6. Przykrycie na imbryk do kawy aplikacja (Do ryc. 7).



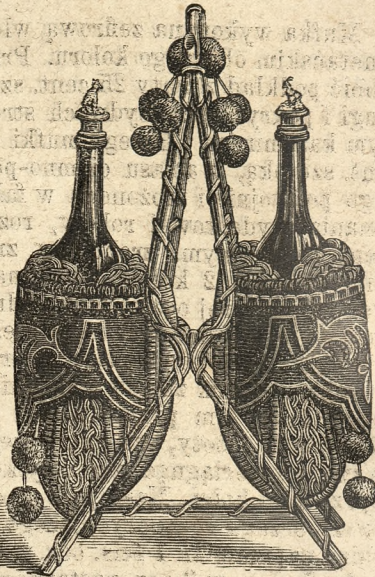
Nr 4. Znak haftowany.

pow. ocz. w najbliższe 3 pow. ocz. poprzedniej kolei. Kolej 3: 2 ści. łańc. ocz. w pierwsze 2 ści. ocz. poprzedniej kolei, następnie ciągle 4 ści. o. a pomiędzy dwoma środkowymi 3 pow. ocz. w następne 3 pow. ocz. Kolej 3 do 8 jak ostatnia. W końcu 1 ści. o. łańc. w 1 ści. ocz. ostatniej kolei. Nitkę zakończyć i obciąć. Wyłożyć falbankę na lewą stronę i wykonać część podchodzącą pod falbankę. Kolej 1 ciągle naprzemian: 1 słup. w te same o., w które ostatnie z najbliższych 3 ści. ocz. 1 kolei falbanki były wykonane, 1 pow. ocz., nakoniec 1 ści. łańc. o. w 1 słup. tejże kolei. Kolej 2: 1 ści. ocz. w najbliższe o. pow., 4 pow. ocz. następnie ciągle na przemian: 1 słup. w najbliższe pow. ocz., 1 pow. ocz. nakoniec 1 ści. łańc. o. w 3 z 4 pierwszych pow. ocz. tejże kolei. Kolej 3 do 6, jak poprzednie. Kolej 7 wolant dolny: 4 ści. ocz., a pomiędzy dwoma środkowymi 3 pow. o. w najbliższe oczko, pomiędzy 2 słup.



Nr 7. Haft aplikacja do ryc. 6.

poprzedniej kolei. Kolej 8: 2 ści. łańc. o. w najbliższe 2 ści. ocz. poprzedniej kolei, następnie ciągle 4 ści. ocz., a pomiędzy 2 środkowymi 3 pow. ocz. w najbliższe 3 ści. ocz. Kolej 9 do 14, jak ostatnia kolei, na-



Nr 8. Koszyczek haftowany do butelek.



Nr 5. Znak haftowany.

koniec 1 ści. łańc. ocz. w 1 ści. ocz. tejże kolei. Nitkę umocować i obciąć. Wykonać w górnym brzegu na karczek, mniej więcej 96 ści. ocz., przerabiając w przedniej połowie spódnicy każde oczko pojedynczo, w tylnej zaś połowie po dwa, lub nawet więcej. Kolej 2 do 6 ciągle: po 1 ści. ocz. w każde oczko poprzedniej kolei.

Suknia z materiału jedwabnego „faille” i aksamitu.

Rycina Nr 1.

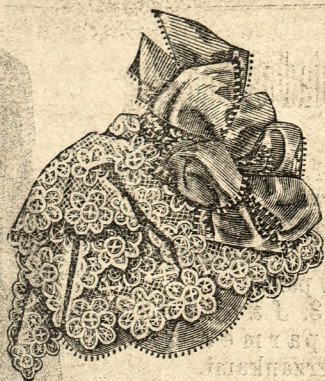
Spódnica z oliwkowego kamlotu, ubrana odpowiednio czterema falbanami, z których dwie 25, a dwie 10 cent. szerokie z oliwkowego faille, wycinane u dołu w zęby, pomiędzy falbanami garnirowanie z aksamitu oliwkowego koloru, a dół spódnicy również aksamitem przybrany. Następnie ukroić z faille podług fig. I i II o 25 razy zmniejszonej, tak jak i z aksamitu.

tu fig. III po jednej części (liczby znajdujące się w konturach, oraz liczby w figurze I, na kropkowanej linii, przedstawiają wielkość części. Liczby położone zewnątrz konturów w kierunku od *a* ku *b*, oznaczają odległość liczb i znaków, potrzebnych do wykonania roboty. Liczby zaś znajdujące się wewnątrz konturów, służą do prawidłowego łączenia części. Ostatecznie przybrać fig. I aksamitem podług ryciny, (aksamit podszyć muslinem), ułożyć w fałdy fig. I i III, składając $\frac{1}{2}$ na kropkę. Przymocować w przedniej i w tylnej części krzyżki oznaczone literami, na kropkach takimiż samymi literami oznaczonych. Zeszyć fig. I i II od liczby 1 do 2, oraz fałdy oznaczone literą *b*, przyszyć do tylnej części górnego brzegu w samym środku. Następnie fig. III zmarszczyć w gęste fałdy, przyszyć ją od liczby 3 do 4, jak również wzdłuż ułożonych fałd do tylnej części wzdłuż środka, zakrywając brzeg figury I i ułożyć tiunikę na spodnicy stanik zakończony spiczasto z przodu i z tyłu, zdobi napierśnik z aksamitu, obszyty u góry falbankami z faille, oraz wyłogi i kołnierzyk aksamitny.

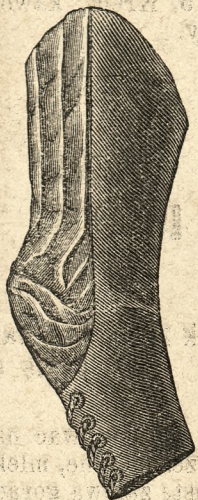
Suknia wizytowa z popeliny i aksamitu.

Rycina Nr 2 i 15.

Spódnica 232 centim. obwodu w dole mająca, koloru palonej cegły, obszyta tamże falbanką 6 cent. szeroką, pokryta z przodu i z prawej strony brytem aksamitu tegoż samego koloru, mającym u dołu 113 cent. szerokości, u góry zaś 90 cent. Ubrać u dołu podług ryciny taśmą jedwabną koloru palonej cegły, przerabianą złotem. Stanik krótki z popeliny koloru palonej cegły, plisowany z przodu, przyszywa się wzdłuż dolnego brzegu do upięcia spodnicy. Przednia



Nr 9. Czepeczek ranny z koronki i wstąż. Opis odw. str. tab.



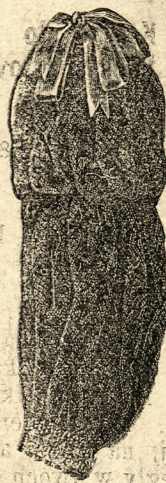
Nr 11. Rękaw z materyi i satin-merveilleux. Krój i opis odw. str. tabl. Nr IX, fig. 46-50.



Nr 13. Pelerynka do teatru lub na wizytę.



Nr 10. Czepeczek ranny z koronki i wstążki. Opis odw. str. tab.



Nr 12. Rękaw z materyału koronkowego. Krój i opis odw. str. tabl. Nr V, fig. 29 i 30.

część tiuniki 100 cent. długa, 92 centim. szeroka, układa się w fałdy podług ryciny, wzdłuż górnego brzegu. Prawa strona upięcia 99 cent. długa, 160 cent. szeroka, ułożona z przodu wzdłuż górnego brzegu w fałdy, przyszywa się do tylnej części upięcia 170 cent. szerokiej, a 112 cent. długiej, która wzdłuż górnego brzegu ma być ułożona w fałdy i przyszyta wzdłuż dolnej linii pleców stanika. Pasek, stojący kołnierzyk, mankiety obszyte taśmą przerabianą złotem i wiązania przy tiunice z takiej samej taśmy, uzupełniają tę nader wykwintną tualetę.

Przykrycie na imbryk do kawy.

Rycina Nr 6 i 7.

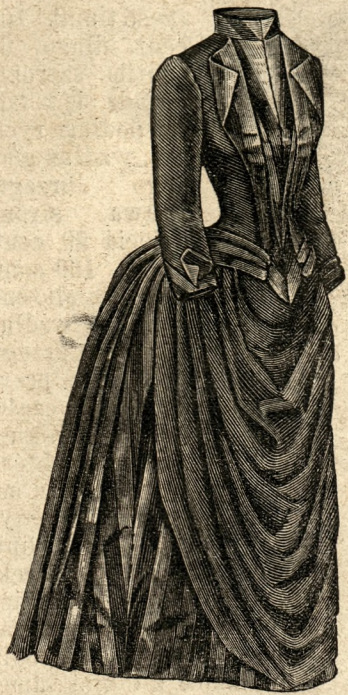
Przykrycie to z kolorowej białej, na której aplikowane są części haftowane różno kolorową hamburską włóczką, sznelą i krętą przędzą na szarej białej. Rycina 7 przedstawia jedną część naturalnej wielkości. Przenieść deseń na materiał i wykonać stosownie do konturów deseń podwójną hamburską włóczką koloru oliwkowego, palonej cegły i szarego; przyszywać ją podług ryciny, ścięgami z filozeli tegoż koloru, w odstępach pół cent. Kontury środkowej figury wykonane złotym sznurem, wypełnione są częścią hamburską włóczką koloru palonej cegły, ścięciem „Janiny” i rybiej łuszczyki; dolny liść deseni wykonany oliwkową włóczką, filozelą i metalowym sznurkiem, reszta figur sznelą koloru palonej cegły, oraz karbowaną przędzą. Po skończeniu haftu wycina się brzegi oraz puste miejsca deseni i przykłada się na podstawie, którą należy wykonać sposobem następującym: Ukroić z białej trzy części 25 cent. szerokie, a 32 centim.



Nr 14. Suknia dla młodej osoby. Opis odw. str. tabl.

Nr 15. Suknia wizytowa z popeliny i aksamitu. Przód. (Do ryc. 2).

Nr 16. Suknia z wełnianego materiału. Opis odw. str. tabl.



Nr 17. Suknia z dyagonału i materiału jedwabnego w pasy. Przód. (Do ryc. 16 w Plu. Nr 44).

Haft wykonać na białej oliwkowej, na której aplikacja z sukna koloru palonej cegły w dwóch cieniach, otoczone są podwójnymi nitkami hamburskiej włóczki, oraz jasnej i ciemnej szneli i ozdobione długimi ściągami szarej filozeli. Dolny brzeg zębów ozdobić trzema rzędami szarej włóczki, gałzkowym ściągami, otoczyć złotą nitką, górny brzeg obszyć szeroką taśmą z włóczki, szneli i karbowanej przędzy.

Okrywka do teatru lub na wieczór.

Rycina Nr 13.

Okrycie z czarnego „satin-merveilleux“ ozdobione haftem złotą nitką. Wykonać najpierw



Nr 20. Płaszcz z brokatu jedwabnego podszyty futrem.

wysoki; nadać im formę podług fig. 7, zeszyć z lewej strony; dać podwatowaną podszewkę, otoczyć u dołu wełnianym sznurkiem i wykonać u góry rodzaj ozdobnej pętli podług ryciny.

Koszyk do butelek haftowany.

Rycina Nr 8.

Koszyk ten z trzciny i pleśni, częścią koloru drzewa, częścią złożony, ozdobiony haftowanymi zębami i bombelkami włóczkowymi.

kontury deseni ściągami dzierganym, następnie pajaczki i słupki częścią złotą nitką, częścią paciorkami, nie przekuwając materiału, wyciąć części pomiędzy konturami i wszyć stojący kołnierzyk.

Suknia z kaszmiru i trykotowego materiału.

Rycina Nr 18. Krój pierw. str. tabl. Nr. I, fig. 1—11.

Szara kamlotową spódnicę pokrywa podług ryciny wolant 450 cent. szeroki, z materiału tegoż samego koloru. Do wykonania tej sukni należy dopełnić złożoną fig. 2 i przedłużyć ją w kierunku strzałek, z uwzględnieniem zmniejszonej formy, fig. 6 pięć razy powiększyć, a liczby, znaki i litery przenieść na powiększoną formę. Następnie ukroić z podszewki podług fig. 1 napierśnik, podług fig. 7 kołnierzyk z popielatego trykotowego materiału, podług fig. 2 do 5, 8 i 9 po dwie części, podług fig. 6 jedną część złożoną wzdłuż



Nr 19. Pasmanterya do zakończenia kamizelki i napierśnika. $\frac{1}{2}$ wielkości naturalnej.

środką, podług fig. 10 mankiety, a z jedwabnej popielatej materii, podszewki i merli podług fig. 11 klapki do tychże. Kołnierzyk ubrać plisowaną materią. Pokryć napierśnik podług ryciny materiały, a figurę 2 do 5 i 8 do 10 ułożyć na podszewce. Następnie wykonać w przodach zaszewki, połączyć takowe od liczby 1 do 2 z napierśnikami i zeszyć brzegi materiału od gwiazdki do dwukropka. Po zeszytciu podług liczb przodów, boczaków i pleców, wyłożyć przody wzdłuż linii kropkowanej, ułożyć fałdy podług ryciny i połączyć od liczby 4 do 11 z boczakami. Wykonać szwy od liczby 12 do 11, trafiając w 11, tak jak od liczby 14 do 13 trafiając w 13, ułożyć tę część podług ryciny i połączyć z plecami od liczby 11 do 13 i umocować *a tej części, na *b fig. 2. Połączyć kołnierzyk z wetementem podług liczb i znaków, zeszyć rękawy, ubrać mankiety i wszyć rękawy w pachy, trafiając liczbą 20 rękawa, na takąż liczbę przodów. Ubrać ostatecznie kwastami z pasmanterii i poprzyszywać haftki do zapinania.

Płaszcz z brokateli podszyty futrem.

Rycina Nr 20.

Płaszcz ten zrobiony jest z brązowej brokateli wełnianej, podszyty nurkami i przyozdobiony kołnierzem, mankiety i obłożeniem z przodu z niebieskich lisów. Z tyłu na fałdzie ułożonej, kilka centymetrów niżej wcięcia, przyszyć sznur i kwasty jedwabne brązowe.

Opis ryciny 3 podamy w przyszłym numerze, reszta jest zamieszczona na tablicy krojów, dołączonej do zeszłego numeru.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa pomidorowa, „pureé“ z grzankami.
2. Sztukamięsa na parzę.
3. Jarzynki z parmezanem i grzankami.
4. Kaczki z jabłkami.
5. Krem kawowy.

Przepisy gospodarskie

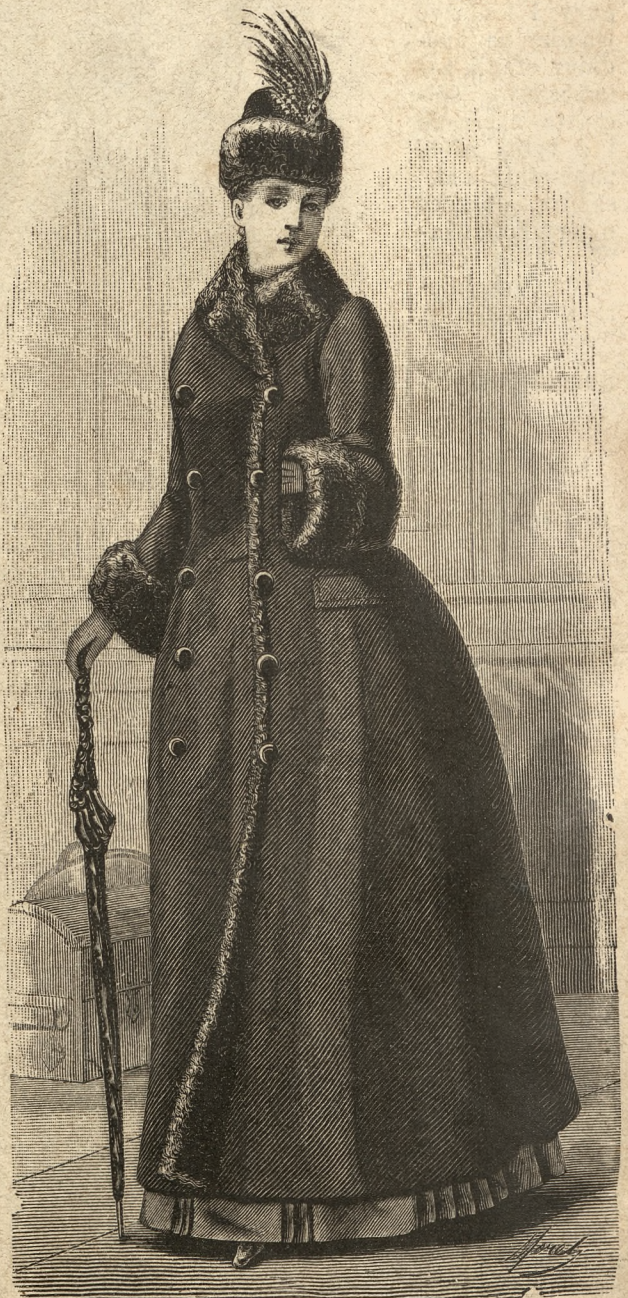
Jak zachować kapustę od przekwaszenia.

Posmarować naczynia do kwaszenia kapusty przeznaczone, mlekiem wapiennym, a gdy się kapustę zalewa gorącą wodą, zdjąć z niej powłokę wapienną. Ponieważ wapno podnosi kwas w kapuście, przeto jest kwaśniejszą i trwalszą, ale nigdy nie dojdzie do przekwaszenia. Przed napełnieniem naczynia, trzeba kapustę przetknąć kijem brzoźowym, aby wszystka gorycz i surowizna z niej wyszła.

L. C.



Nr 18. Suknia z kaszmiru i materiału trykotowego. Przód (Do ryc. 15 w Bl. Nr 44)



Nr 21. Płaszcz podróżny z sukna podszyty futrem. Opis pierw. str. tabl.